



PRZEŁOM

Polska walcząca na Wschodzie

ROK III Nr 31 (70)

NIEDZIELA 8 SIERPNI 1943 R.

CENA 20 FLS

NAUKA PRZESZŁOŚCI

Późnym wieczorem 4 sierpnia 1941 r. wielki czarny „Zis” wyjechał z bramy więzienia na Lubiance, grzechał przez „płoszcząd” Dzierżyńskiego i zagłębił się w zaciemniony black-outem opł. labirynt ulic Moskwy.

Wewnątrz, obok wysokiego dygnitarza N. K. W. D. siedział człowiek, którego wygląd był co najmniej nie odpowiedni dla pasażera wykwiutnego wozu. Z pod nasuniętej na czoło czapki wyglądały głęboko zapadłe oczy, ziemiste policzki pokrywał dawno nie golony zarost, kołnierz zniszczonej marynarki, podniesiony do góry, zasłaniał brak koszuli.

Samochód zatrzymał się przed wysokim, nowoczesnym budynkiem. Dygnitarz szybko wyskoczył z samochodu i troskliwie pomagał wysiąść swemu sąsiadowi, który kulejąc, z wysiłkiem stawiał kroki. Za chwilę obaj mężczyźni znaleźli się w pięknym, nowoczesnym urządzonym mieszkaniu.

— „Zdzień wasza kwartira, gaspadin genieral!” — odezwał się dygnitarz sowiecki do swego towarzysza. „A to pańska służba — dodał wskazując na kilka zginających się w ukłonie postaci”. Samochód, którym przyjechał jest pańska własnością. Jutro zgłoszą się do pana krawiec i szewc. A teraz życze panu dobrej nocy...”

Nowo mianowany dowódca Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR zostaje sam. Wolny po 20 miesiącach więzienia. Może dysponować swoją osobą, może zgasić światło...

Nie wiemy, o czym myślał gen. Anders w tej pierwszej noc po dniu, gdy dokonała się najdłuższa przemiana w jego życiu. Był świeżo mianowanym wodzem armii, z której na razie on jeden był na wolności. Miał stworzyć wojsko z ludzi, których nie wiedział gdzie szukać; z nędzarzy jak on sam, wyniszczonych do ostatnich granic możliwości.

Gdy na drugi dzień rano przedstawiciele władz sowieckich przybyli, by odwiedzić swego wczorajszego więźnia a dzisiejszego gościa, gen. Anders wręczył im spis Polaków, którzy według posiadanych przezeń informacji znajdowali się w więzieniach w Moskwie. Było wśród nich kilku generałów i wyższych oficerów, którzy później zajęli czołowe stanowiska w organizującej się armii, m. in. gen. Michał Karaszewicz Tokarzewski, płk dypl. Kazimierz Wiśniowski i płk dypl. Leopold Okulicki.

Jeszcze dzień minął i wiadomość o powstaniu armii i nominacji gen. Andersa została podana do publicznej wiadomości w ZSRR. Na falach eteru dotarła do najdalszych zakątków państwa sowieckiego. Przedostała się przez mury więzień i druty drutów budząc radość i krzwiąc kłuchę.

Armia, której pierwszy żołnierz zarazem dowódca opuścił 4 sierpnia 1941 r. celę na Lubiance, była

wojskiem, które organizowało się w warunkach, o jakich pojęcia nie mają żołnierze żadnego ze współczesnych wojsk.

Żołnierze tej armii, po swych nieprawdopodobnie ciężkich przejściach nadawali się raczej na pacjentów domów zdrowia, aniżeli do służby w wojsku. W każdym razie potrzeba im było przede wszystkim trzech rzeczy: dobrego odżywiania, ubrania i odpowiednich pomieszczeń. Tego wszystkiego brakło.

Żołnierz polski w Rosji otrzymał dwa razy dziennie porcję zupy względnie rzadkiej kaszy oraz 600-700 gr ciemnego chleba. Możliwości dożywiania się we własnym zakresie prawie nie było. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy istnienia armii głód był stałym towarzyszem żołnierza polskiego w ZSRR.

Przez okres pierwszych 2-3 miesięcy żołnierze w dalszym ciągu nosili łachmany, w których przybyli z więzień. Koce stanowiły rzadkość, a buty skórzane były wręcz unikatami. Z czasem doraźne dostawy pozwoliły na usunięcie najbardziej dotkliwych braków, ale dopiero rozdziła sort angielskich w grudniu i styczniu 1942 r. rozwiązał problem ubraniowy.

Niemniej dotkliwa była sprawa pomieszczenia. Wojsko przebyło zimą, nawet jak na rosyjskie warunki bardzo wczesną i srogą, pod namiotami. Namiot wyniarów 4x4 m mieścił 16 ludzi czyli 1 m kw. powierzchni na człowieka. Gdy później w środku zimy nastąpiła translokacja wojska na południe, do Azji centralnej, gdzie nie było mrozów, ale za to o tej porze bez przerwy padały deszcze, okazało się, że dla wielu oddziałów nie dostarczone namioty. Trzeba było przez kilka tygodni biwakować na deszczu pod gołym niebem.

Wynikiem podobnego stanu rzeczy był katastrofalny stan zdrowotny wojska. Odnowiły się „lagierne” nabytki — szkorbut, blednica i kurza ślepotą, wybuchł tyfus plamisty. Zaledwie opanowano tę straszną epidemię, pojawiły się nowe plagi — dysenteria, dur brzuszny i malaria. Wojsko zostało zdziętkowane. Tysiące krzyżów wyrosło na szlaku od Taszkentu do Krasnowódzka.

Oczywiście o planowym szkoleniu wojska mowy być nie mogło, tym bardziej, że nie wystarczało także broni. Wojsko polskie w Rosji otrzymało broń jedynie na stan jednej dywizji i to z wielkimi brakami. Sprzętu nowoczesnego — czołgów, artylerii plot i ppanc w ogóle nie było.

Mimo to żołnierz nie zalał się ani na chwilę. Wszystkie dolegliwości znosił ofiarnie wykazując wielką odporność charakteru. Nie skarżył się i nie sarkał. Wiedział bowiem doskonale, że nie jest w mocy jego przełożonych użyć jego losowi, że warunki jego bytu nie zależą od władz polskich.

Wobec takich okoliczności dowódca armii gen. Anders zwrócił się do władz sowieckich z żądaniem, aby bądź dały wojsku polskiemu możliwości osiągnięcia gotowości bojowej, bądź też wyraziły zgodę na jego przejście na tereny podlegające Wielkiej Brytanii.

Historyczna już dziś rozmowa, jaką gen. Anders odbył ze Stalinem w marcu 1942 r., dała w wyniku ewakuację części armii oraz kilkunastu tysięcy osób ludności cywilnej. Ponieważ i później warunki bytu i szkolenia wojska nie uległy poprawie a w dodatku wstrzymano został dopływ nowych sił z terenu, jasne się stało, że wojsko polskie w ZSRR nie będzie mogło wypełnić swego zadania, jakim była i jest — walka z Niemcami.

Dlatego też starania dowódcy armii poszły w kierunku ewakuacji reszty wojska z ZSRR na Środkowy Wschód, celem stworzenia tam silnej polskiej jednostki wojskowej, zdolnej do odegrania poważniejszej roli w walkach o oswobowienie Europy.

Koncepcja ta spotkała się ze zrozumieniem rządu polskiego i znalazła poparcie u władz brytyjskich. Władze sowieckie, nie mogąc jej przeciwstawić innej realnej propozycji rozwiązania niemożliwego stanu rzeczy, również wyraziły swą zgodę.

Równo rok temu, w pierwszych dniach sierpnia 1942 r. pozostałe dywizje polskie rozpoczęły ewakuację z terenów ZSRR. Z nimi, na mocy układu zawartego przez gen. Andersa z władzami sowieckimi opuściło granice ZSRR dalsze 30 tysięcy osób ludności cywilnej, głównie rodzin wojskowych.

Szczególne warunki bytu, przeżycia i obserwacje lat 1939-42 sprawiły, że psychicznie żołnierz polski z ZSRR — skoro o nim mówimy specjalnie w tym artykule — przedstawia typ swoisty, nieraz niezrozumiały dla obcych. Cechuje go przede wszystkim głęboka wiara. Wiara w Boską Opatrzność, w triumf sprawiedliwości, w lepszą przyszłość. Był czas, że ludzie ci byli na samym dnie nędzy i niebezpieczeństwa. Wydawać się mogło, że dla nich już wszystko stracone, że nie nie odwali wieka trumny, które się nad nimi za życia zawarło. W tej beznadziejnej sytuacji wiara była kotwicą, która uchroniła ich przed rozpaczą, nie pozwalała popaść w ząpnięcie i utwierdzała w nadziei na poprawę losu.

W ostatnich czterech latach nie było Polaka na obczyźnie, który nie odczuwał na sobie głębokiej prawdy słów Mickiewicza:

... Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie,
Ile Cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
kto cię stracił...

Ale dla żołnierza polskiego z Rosji słowa te, to nie tylko tęskne westchnienie. To na głębokich przemysle-

niach i wielokrotnych doznaniach oparte przekonanie. „Nie było jak w Polsce”, „co polskie to najlepsze”, „żyć można tylko w Polsce” — te i podobne zdania powtarzał każdy z nas z najszczerzym przekonaniem.

Nie znaczy to, aby żołnierz polski z ZSRR pozabawiony był krytycyzmu w stosunku do wielu spraw polskich z przed wojny, by nie rozumiał konieczności zmian i reform jakie w naszym życiu publicznym trzeba będzie przeprowadzić. Ale to, co widział i co przeżył utwierdziło go w przekonaniu, jak bardzo słuszne były słowa Kochanowskiego:

„Cudze chwalicie, swego nie znacie,
sami nie wiecie, co posiadacie!”

Żołnierz polski z ZSRR — Polak, Żyd, Ukraińiec czy Białorusin — wie, że Polska była krajem prawdziwej wolności, wie, że pomimo pewnych zgryzotów współżycie rozmaitych narodowości układało się tam harmonijnie, wie, że życie publiczne i prywatne oparte było na zasadach najdroższych, to jest moralności chrześcijańskiej.

Żołnierz polski z ZSRR wie, że wbrew wszystkim kałamitium Polska była krajem postępu, że jej ustawodawstwo społeczne dawało pracownikowi o wiele więcej aniżeli tak krzykliwie reklamowane instytucje innych krajów, że poziom życia robotnika i rolnika w Polsce był znacznie wyższy aniżeli w niejednym z ościennych państw.

Żołnierz polski z ZSRR mógł stwierdzić, że obywatel polski znajdował się naprawdę pod ochroną swych praw, że życie każdego człowieka miało w Polsce wartość i znaczenie, że sądy w Polsce nie były kurtyną kryjącą barbarzyńską tyranie administracji państwowej lecz źródłem sprawiedliwości, przed którym oskarżony stawał zbrojny we wszystkie przysługujące mu środki obrony.

Dlatego też żołnierz polski z ZSRR jest głęboko przekonany, że naród polski po wygnaniu najęźdźców sam najlepiej odbudować potrafi zburzonych gmach swego państwowości. Pozostawiając innym prawo rządzenia się tak, jak im to dogadza, żołnierz polski z ZSRR żąda tego samego prawa dla swej ojczyzny. I dla obrony tej zasady gotów jest ponieść wszelkie ofiary.

Żołnierz polski z ZSRR wiele widział, wiele przeżył, wiele przecierpiał, i wiele zrozumiał. Jasne i niedwuznaczne są dla niego niebezpieczeństwa jakie światu grożą. Wie, że droga do pokoju powszechnego jeszcze bardzo długa i krwawa.

Ale jak kiedyś w chwilach najcięższych żołnierz polski z ZSRR, tak jak i inni jego towarzysze broni, nie wątpi ani na chwilę. Nie wątpi w nieśmiertelne wartości swego narodu, nie wątpi w wyższość zasad moralności chrześcijańskiej nad materialistycznymi doktrynami, nie wątpi w mądrość polityczną, pomoc i lojalność swych wielkich sprzymierzeńców.

Z przeszłości czerpiąc otuchę i naukę, z ufnością patrzy w przyszłość.

Zbigniew Rącki

Konarskiego PRAWDY NIEPRZEDAWNIONE

Motto: „...więcej zależy państwu na uczciwych ludziach i dobrych obywatelach, aniżeli na wielkich mówcach, poetach i filozofach...”
Z przemówienia St. Konarskiego na otwarciu nowej siedziby „Collegium Nobilium”, (1754).

I

Aby — bez długich wstępów — uzasadnić ten pozornie paradoksalny tytuł, to powołujemy się na wielkiego reformatora szkolnictwa z odległej, 18-wiecznej epoki, powiedzmy od razu, że byłoby zupełnie, ale to zupełnie w duchu Wielkiego Pijara, gdybyśmy dziś pod adresem wielu pohopych reformatorów Polski Jutrzejszej wysunęli takie oto 3 proste pytania:

- 1) Cóż warte są najpiękniejsze hasła i programy społecznej i gospodarczej przebudowy i odbudowy, jeśli zawiądzie wykonanie?
- 2) Czyż nie pozostaną martwą literą nawet najdemokratyczniejsze ramy ustrojowe i prawa, jeśli nadal wypełniać je będzie treść złych obyczajów?
- 3) Cóż warte będą najbardziej rzewne i pomienne deklaracje i deklaracje o patriotyzmie, jeśli im... nie dotrzymuje kroku codzienny czyn?

A ten właśnie czyn, te właśnie obyczaje i to właśnie wykonanie, to wyraz przede wszystkim charakteru. Także rozum, doświadczenia, sprzyjających okoliczności i t. p., ale głównie charakteru, o którym — wszyscy dobrze wiemy — że (mówiąc ogólnie) wymaga on w Polsce jeszcze wielkiego wysiłku reformatorskiego.

Nie dość na tym! Również w duchu Wielkiego Reformatora Wychowania Narodowego i autora pomnikowej pracy „O skutecznym rad sposobie” będzie uzupełniającą przypomnienie, że: naprawa charakteru (tj. wpajanie dobrych nawyków i wykorzenianie złych skłonności), to sprawa nie tylko długiego czasu, ale i równoczesnego, scharmonizowanego wysiłku wszystkich czynników wychowawczych a więc nie tylko szkoły, ale rządu i administracji, sądów i prasy, a także i Kościoła!

Jeśli jeszcze dla pełności obrazu dodamy, że dla Konarskiego teza: „Jaki naród, taki rząd”, że ta teza nie ulegała żadnej wątpliwości i że w konsekwencji naród, który chce mieć mądry i uczciwy rząd oraz taką administrację, musi (zdaniem tegoż Konarskiego) wytworzyć mądrą i uczciwą „elitę rządzenia”, czyli musi dbać o wysoki poziom moralny i umysłowy zwłaszcza swej aktywnej politycznej części... to wydaje mi się, że dostatecznie usprawiedliwione będzie powołanie się jeszcze w roku 1943 na cień Wielkiego Pijara, zmarłego przed 170 laty.

II

Trudno na tym miejscu streszczać wszystkie nie przebrzmiałe po dziś dzień recepty polityczne, rozsiane tak hojnie nie tylko w publikacjach o niezwykle wymownych tytułach, jak „O sztuce jasnego myślenia”, lub „O sztuce dobrego mówienia” (Konarski, wróg

banau i częzej gadaniny, szukając rozwiązań praktycznych sięga wszędzie do korzenia zła), ale i w programach Collegium (zał w r. 1740) i szkół pijarskich oraz w artykułach przygodnych, ale — dla poparcia argumentów na temat aktualności Konarskiego, trzeba przypomnieć kilka faktów i dat z jego życia.

(Nawiasem wtrącając, że wobec częstego powoływania się na wielkie wzory przeszłości i na ciągłość wysiłku narodowego, należałoby przypomnieć szerszemu ogółowi wyniki badań nad Konarskim prof. Chrzanowskiego, Konopczyńskiego, Kota i innych).

Tu ograniczamy się do przypomnienia, że młodość Konarskiego i jego główny wysiłek przypadają na czasy saskie (Augusta III), czasy wielkiej co prawda dewocji ale i ogromnego zastoju umysłowego oraz upadku moralności politycznej. Liberum veto święci orgie. Zaden sejm nie dochodzi do skutku. Falszywie pojęta wolność jest głównym artykułem wiary mas szlacheckich, której krytyka byłaby świętokradztwem! Skoro więc zawiody próby wzmożenia rządu i reform ustrojowych podejmowanych przez rozsądniejszych i uczciwszych polityków (Czartoryscy i t. d.), dodajmy od razu, próby paraliżowane też przez obcą intrygę, skoro nawoływania w stylu Sobieskiego: „Jeszcze 40 dni, a Niniwa upadnie”, nie robiły już wrażenia, Konarski sięga do korzenia zła i nie zaprzestając agitacji publicystycznej postanawia... wychować nową elitę rządzącą!

W tym właśnie celu zakłada wyższą szkołę tzw. Collegium Nobilium oraz podejmuje gruntowną reformę szkolnictwa pijarskiego (która to reforma stanie się bodźcem i dla reszty szkół). Nie złamały Konarskiego ani fałszywe oskarżenia nawet w Watykanie (jeździł ośobiście do Rzymu i przekonał papieża), nie zniechęciły go intrygi bojącego się konkurencji (utrąty wpływów i dochodów) zakonu Jezuitów, nie zraziły go też dąsy i krzyki szlachty na „pańską szkołę”, po sejmikach. Konarski z niebywałą jak na polskie stosunki konsekwencją robi swoje i... wychowuje narodowi: posłów, senatorów, ministrów i administrację ucząc „elementarza politycznego”. Cóż dziwnego więc, że w końcu obalili „liberum veto”, że przepoił spory odłam „elity” przemianami, że rządzenie państwem to zadanie trudne i odpowiedzialne, o wiele trudniejsze niż — ciągnięcie zysków z lukratywnego folwarku.

Nikt bodaj przed nim (od czasów Skargi), nie odważył się na tak ostre zaatakowanie „świętej” zasady politycznej „do ut des”, nikt dotąd publicznie nie głosił takich „herezji”, jak Konarski (w „Tragedii Epaminondy”):

„Sprawiedliwości nie chce; nikt mi nie winien, Uczyniłem co byłem uczynić powinien, Czyż słusznie o nagrodę taki się odzwa, Który tylko powinność swoją wykonywał?

Nie masz zasług; te co my zowiemy zasługi, Są tylko ku Ojczyźnie wypłacone długi. Ojczyzna nic nam nie jest winna. Ona Pani! My Jej więźnie, Jej sługi, Jej obowiązani.

Jej więc wolno krwi, ozdób, fortun naszych żążyć, My powinniśmy dla niej wszystko z życiem ważyć...”

Krótko mówiąc, ten niezwykle mądry zakonnik wybrał pozornie długą, ale jakże skuteczną drogę, drogę zmierzającą poprzez reformę szkół, poprzez wychowanie i poprawę charakteru — do reformy państwa i jego ustroju. Nie burzy, ale ulepsza, nie odrzuca dorobku i doświadczenia poprzedników, ale buduje dalej na zdrowych elementach tradycji rozumiejąc, że wielkość państwa tworzy się nieustanną pracą pokoleń. Cóż dziwnego, że przygotował Konarski znakomicie grunt pod Komisję Edukacji Narodowej, to pierwsze w Europie ministerstwo oświaty, że np. prof. Chrzanowski i in. uważają właśnie Konarskiego za ojca duchowego Konstytucji 3 Maja, skoro z jego szkoły wyszli obaj Potoccy!

A jeśli wreszcie uprzytomnimy sobie, że ojciec ruchów powstańczych i niepodległościowych, Tadeusz Kościuszko, też wyszedł ze zreformowanego kolegium Pijarów (w Lubieszowic), wówczas nie byłoby chyba przesadą barwne porównanie wpływów ideowych Konarskiego z nurtem... który jeszcze płynie!

III

W uznaniu niepospolitych zasług Konarskiego, król Stanisław August polecił wybić na jego cześć medal z napisem: Sapere aude! (Temu, który odważył się być mądrym)!

Symboliczny zaiste napis, jakże zachęcający do snucia analogii i refleksji, zwłaszcza dziś.

Toczymy przecież walkę nie tylko orężną, walczymy nie tylko o lepsze granice i trwalszy ład na między-morzu bałtycko-adriatyckim i czarnomorskim, ale bronimy również własnego wielkiego dziedzictwa ideowego wobec obcych sugestywnych ideologii.

Cóż więc dziwnego, że aby nie zbroczyć (w tej burzy światopoglądów) z naszego szlaku drożowego, demokratyczno-federacyjnego, pilnie orientować się musimy według tych wielkich duchów — drogowców, o których mówił Józef Piłsudski na Wawelu (przy złożeniu zwłok Słowackiego) Cóż dziwnego, że — mutatis mutandis nie przedawniły się dla nas także i mądre prawdy Konarskiego, te założenia, które były kamieniem węgielnym jego wielkiej reformy:

- I. Jaki naród, taki rząd!
- II. Im wyższy poziom umysłowy i moralny narodu, tym mądrzejsze, tym uczciwsze będą rządy!
- III. Nie burzyć dorobku przeszłości, ale budować dalej i udoskonalać!

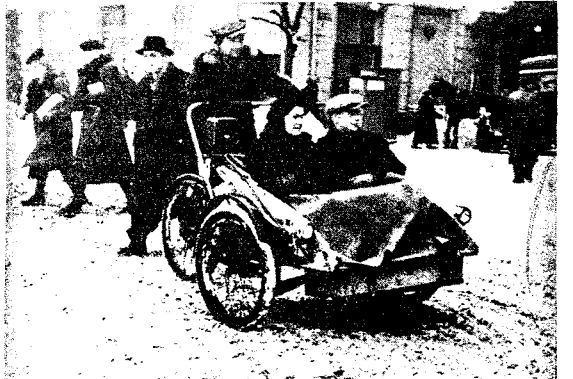
Cóż dziwnego też, że na usta ciągnie się niemniej praktyczne pytanie: Kto powyższe tezy Konarskiego wprowadzi dziś w czyn? Kto wyciągnie z nich konsekwencje praktyczne? Kto dziś odważy się być tak mądrym jak ów Wielki Pijar? Kto?

Dr Edward Kostka

Z OKUPOWANEJ POLSKI

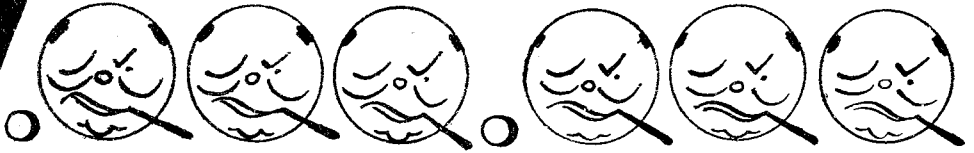


„Rząd” Generalnego Gubernatorstwa



Riksza na ulicach Warszawy

47



CHURCHILLOW

ZPH ↑↑

ANGLIA jest wyspą... Nie pamiętając o tym, nie ma się możności poznać i rozumieć Anglików. W położeniu wyspiarskim Anglii można znaleźć pod stawę do zrozumienia poprzedniej linii politycznej, jak również ocenić błędy popel-

niane w przeszłości. Od dawna Anglię otoczeni wodą czuli się bezpieczni. Tak — jak Stany Zjednoczone z rozmaitych powodów nie chciały się wtrącać do spraw europejskich, jak to było do niedawna — tak i Anglię uważali za nie wstępujące interesować się tym, co nazywali z pewnego rodzaju pogardą „kontynentem”.

Od wieków polityka Wielkiej Brytanii streszczała się w następującej formule: Nie przeszkadzać we wzroście potęgi żadnemu państwu aż do momentu, w którym mogłoby się ono stać rywalem Wielkiej Brytanii na morzu — przeciwnie nawet, aby osiągnąć równowagę polityczną, należy przeciwstawić jedno państwo drugiemu. Ta zasada dała im możliwość swobodnego zajęcia się tym, co dla Anglików było rzeczywistością realną w Imperium. Odrzuciła Anglików do skierowania uwagi i zajmowania się z góry zagadnieniami ogólnymi wpływa z ich charakteru wyspiarskiego.

„GRANICE ANGLII LEŻĄ NAD WISŁĄ”

W momencie, gdy ta wyspiarskość przestała istnieć i Anglię obudzili się z pięknych marzeń, oznajmili ustami Stanleya Baldwin’a: „Granice Anglii leżą nad Renem” — tak samo jak potem ustami Chamberlaina powiedzieli: „Granice Anglii są nad Wisłą”. Bo oto, gdy Anglia stanęła wobec takiego przeciwnika, jakim jest Hitler, a za nim jego naród — to wystarczyło, by Anglia zerwała z tradycyjną „splendid isolation”, która należy już dziś do epoki przeszłej.

Kiedy się patrzy na przestrzeń morza, jaka dzieli Anglię od kontynentu, jesteśmy zdziwieni, jak Anglię, ludzie praktyczni, mogli wierzyć tak długo, że jest to wystarczająca gwarancja ich bezpieczeństwa. A jednak kryje się w tym to, że łatwiej przejść i podbić całą Europę, niż sforsować te 40 km.

Nie ma kraju na świecie, gdzieby morze było tak związane z życiem narodu, jak jest w Wielkiej Brytanii. Anglik zawsze kieruje swój wzrok na morze, któremu zawdzięcza swoją wielkość, bogactwo i bezpieczeństwo, a nawet powstanie Imperium.

Niemcy usiłują stworzyć imperium tak potężne, by zastąpić Imperium Brytyjskie. Prózne złudzenie! To Imperium, które dotyka brzegów 7 mórz, nie mogło być dziełem innego narodu, jak narodu morza. Idźmy dalej. Gdyby nawet cała marynarka brytyjska przeszła pod władzę Niemców, to i wówczas Hitler nie byłby

w stanie dokonać tego, co geniusz angielski zdobył pracą całych pokoleń.

Imperium Brytyjskie wieki budowały...

Nie tylko Anglia jest wyspą, ale używszy przenośni, można powiedzieć, że Anglik jest wyspą. Zaobserwujcie go w środku tłumy, w barze, na ulicy — on zawsze tworzy wyspę. Ta wyspa ginie w tłumie, ale się z nim nie spoi.

W Indiach, w Afganistanie, nad brzegami Morza Czerwonego, w centrum Afryki, wszędzie tam, gdzie stanie stopa Anglika, stwarza on natychmiast wygodę angielską, sposób bycia, myślenia i porządek, organizację angielską. Anglik nigdy nie przestał być wyspiarzem, gdziekolwiek się znajdzie.

ANGLIA KRAJ TRADYCJI

Gentleman, który gra w golfa, stara lady pochylona z miłością nad cborum „Tutu”, mecz rugby, zmiana warty w pałacu Buckingham, psalmy śpiewane chórem, mgła i smok — to jest Anglia. Anglia jest przede wszystkim krajem tradycji. Anglik jest w głębi duszy przywiązany do zwyczajów, do praw i przywilejów, które stworzyły wielkość jego kraju. W parlamencie, w sądach, czy na ratuszu — w całej Anglii, nie tylko w Londynie — istnieje pewna ilość osób, która by wykonywać swe czynności, kładzie na swe głowy te same peruki, co w średniowieczu.

Zycie na dworze, osoba królewska, przywileje, jakie są do jego osoby przywiązane, etykieta, która panuje w pałacu królewskim, stanowią najlepszą ilustrację konserwatyzmu brytyjskiego.

Jerzy VI korzysta z tych samych praw, co inni królowie angielscy, 500 lat temu. Flota należy do niego, może — kiedy chce ją sprzedać — może zwolnić żołnierzy i marynarzy będących dziś pod bronią, może, kiedy zechce, również rozwiązać parlament, otworzyć bramy więziom i dać wolność wszystkim więźniom. Ale nie wolno mu w przeciwnieństwie do tego np. palić publicznie.

Przy stole etykieta wymaga, tak jak niedgdy — by noże królewskie były dłuższe od innych, by talerze, z których król jada — były większe od innych, podczas gdy szklanki gości są z kryształu — król i królowa piją z filiżanek, ozdobionych ich inicjałami.

Od Londynu do Cape Town przez Australię i Indie nie ma dziś, jak i nie było 500 lat temu, bankietu ceremonii oficjalnej, któreby się nie skończyły wzniesieniem toastu za zdrowie króla.

GOD SAVE THE KING

Miłość do osoby króla jest pierwszą z wielkich tradycji angielskich. Gdy się dobrze zrozumie te prawdy, kiedy się zrozumie, co przedstawia w oczach Anglika isłota monarchii — wtedy się zrozumie ich kraj.

Gina ludzie, domy się wala — lecz duch trwa niewzruszony.

Gi, którzy mieszkali w wielkich wspaniałych pałacach, czy też nawet w robotniczych domach — wszyscy muszą spać w podziemiach, w schronach. Życie dzielone między obywatelami dla narodu a schronami, stanowi zasadę równą dla wszystkich — czy to bogatych czy biednych.

Bomby padające na Londyn nie szczędzą i Buckingham Palace. Jednego dnia Londyn został strasznie zbombardowany. Pewna ilość osób schroniła się do podziemi pobliskiego konsariatu policji. Oto nagłe otwierają się drzwi — wchodzi król — uśmiecha się, pozdrawia serdecznie obecnych krótkim „Good morning”. Kłós ofiarował filiżankę herbaty. Aż do końca alarmu król pozostał, uśmiechał się i rozmawiał ze swymi poddanymi. Innego dnia znowu król i królowa udali się w czasie inspekcji, zaskoczeni alarmem lotniczym — do jednego ze schronów. Jakis nawpół ślepy starzec drżącymi ustami, widząc parę królewską, wypowiedział: „Niech Bóg Was błogosławi, widzę Was, jestem teraz gotów nie wiem jak cierpieć”. Czy trzeba się dziwić, że gdy Anglik powtarza słowa hymnu „God save the King” — to nie tylko modli się za dom królewski, ale oddaje wraz z innymi hold swemu Gentleman the King, wyraża swą miłość dla niego,

POLITYKA FOREIGN OFFICE

Tradycja gra również silną rolę w polityce Foreign Office. Anglia jest jednocześnie przedstawić wielkiej demokracji i dziś olbrzymie zmiany przez cały świat. Idą one wywołane wojną, gorączkowym i przyspieszonym krokiem. Foreign Office potrafiła połączyć ewolucję, jakiej dziś wymaga linia polityczna Anglii, z tradycją. Świadczą o tym nominacja lorda Halifaxa na kierownika ambasady w Waszyngtonie, jak również nominacje Samuela Hoare’a i sir Stafforda Crippsa. Fakty te stanowią nie tylko wyłom w historii dyplomacji angielskiej, lecz wskazują również na głęboką ewolucję mentalności narodu angielskiego, zdecydowanego nie uchylać się od poparczenia w oczy pewnym problemom w nowym duchu.

Gentleman, ideał arystokracji i kultury angielskiej — człowiek zdrowy psychicznie i fizycznie, wysportowany, smukły, który wie jak się ubierać, człowiek zdrowy moralnie o giętym umyśle, bez nerwów, opanowany, dobrze wychowany, dyskretny, zdrowy społecznie, o dużej wiedzy i szerokich horyzontach, szanujący zwyczaj, znający świat i sztukę przyjęcia, zwyciężania trudności, posiadający wyuczucie trwałości i dumy ze swej rasy — oto są cnoty, jakie posiada ambasador wielkiego narodu angielskiego.

Politykę angielską cechują niezależność i inicjatywa. Wyciskają one też swoje pignto i na jej przedstawicielach. Są one proste i pozbawione wszelkich efektów. Nie się nie oddaje przypadkowo, nie szuka

się ryzyka, ni fantazji, czy kaprysu. Określają one granice swych możliwości, dyscyplinują swą energię.

NIE TRZEBA UMÓW

Polityka Foreign Office jest oparta dziś na zasadzie „On the spot”. Nie trzeba zapominać, że dziś w polityce międzynarodowej 24 godziny mają olbrzymie znaczenie; nie wolno ich tracić na procedurę dyplomatyczną. Nie trzeba umów. Kontrakt może być ustny. Zobowiązanie honorowe ma dla gentlemna większą wartość, niż umowa pisemna dla chłopa. Tej to zasadzie hołduje kierownik polityki angielskiej, mr Eden. Lubi on bezpośrednio wymianę myśli i poglądów z kierownikami polityki zagranicznej innych państw. Osobiście udziela instrukcji i kieruje pracą swych ambasadorów.

Polityka angielska ma trzy główne obiekty: drogę do Indii, drogę flandryjską i drogę mórz — Suez, Gibraltar, Malta, Bosfor. Może ona, tak jak potrafiła w 1802 r. i w 1813 r. poświęcić drogę flandryjską, żeby pilnować drogi mórz i zachować drogę do Indii. Jeśli na przestrzeni 100 lat Anglia XIX w. zagrożona, potrafiła zwyciężyć Bonapartego, a Anglia XIX w. potrafiła zwyciężyć Wilhelma, to i dziś potrafi pokonać Hitlera.

Londyn — stolica Wielkiej Brytanii jest dziś centrum nie tylko oporu angielskiego, ale i oporu całego świata przeciwko hitleryzmowi. W swoich wizjach przyszłości Wells nawet nie przewidział tego zycia, jakie dziś prowadzą mieszkańcy Londynu. Jakież to jest życie? Pomimo bombardowań, stolica żyje i pracuje normalnie. Raidy nieprzyjacielskich samolotów mogą jedynie przerwać na czas krótki życie tej dzielnicy, która jest bezpośrednio przedmiotem ataku z powietrza. Fabryki nie zatrzymują pracy. Począta funkcjonuje. Listy i depesze nie doznają opóźnienia, życie nocne Londynu zmieniło nieco swój charakter, miasto pogrążone w ciemnościach: zniknęły światła latarni, wystaw i neonów: dziś tylko światła reflektorów przerywają ciemności, szukając po niebie aparatów nieprzyjacielskich. Kina i teatry kończą się o 9. Po tej godzinie ludzie idą spać do schronów i domów. Można zjeść obiad w hotelu, olbrzymie ich piwnice są do dyspozycji publiczności, ale należy przynieść ze sobą tylko to, co się nazywa popularnie „ekwipunkiem nocnym”. Liczne stacje metra są wspaniałymi schronami. Tysiące londyńczyków spędza w nich noc. Nikt się nieczym nie przejmując. Nawet pogodny nastrój nie ustaje nigdy. W schronach urzędzą się koncerty. Są jednak tacy, którzy pomimo bomb wolą spać w domu, niż w schronach^{*)}.

MÓJ DOM JEST MOIM ZAMKIEM

„My home is my castle”. Anglik zmuszony spędzać noc w schronach poświęcił to, co jest dla

(Dalszy ciąg na str. 4)

^{*)} Pisane w okresie częstych bombardowań Londynu.

„ORZEŁ BIAŁY” OTRZYMUJE BRACISZKA

APW—DZIENNIK ŻOŁNIERZA

„Orzeł Biały” nasz wielce szanowany i dostoyny tygodnik, który za kilka miesięcy obchodzić będzie drugą rocznicę swych urodzin, otrzyma, jeśli tak można powiedzieć, wkrótce młodszego brata — pismo codzienne.

Nie popelnie chyba zbytnej niedyskrecji jeśli zdradzę, że nowe pismo nosić będzie nazwę — A. P. W. Dziennik Żołnierza — bo jakże inaczej może się nazywać nasza gazeta — że „odebranie” noworodka odbędzie się na nowym m.p. Nowy dziennik obok „Orła”, „Parady” i „Aktualności” będzie czwartym wydawnictwem naszego żołnierskiego „Domu Prasy”. Komu się to śniło w 41 roku w grudniu na Czapajewskiej 21 w Buzułuku. Zaczęło się skromniutko, skromniutko na korytarzu w sztabie, a teraz jesteśmy prawie wielkim konsernem prasowym, z porządną płaską maszyną i z widokiem na prawdziwy linotyp.

Pisząc o nowym dzienniku nie sposób pominąć osobę przyszłego naczelnego redaktora, który ma być jego ojcem, matką i nianką. Znany dziennikarz krakowski ppor. R. nie jest ani „prawosławnym” ani „ramzesem”. Pochodzi z prostej linii z lordów. Przyjechał do nas z Anglii. Jest pewnego rodzaju wojskowym rekordzistą prasowym. W listopadzie 1939 r. należał do grona założycieli pierwszego naszego pisma emigracyjnego „Polska Walcząca” w Coetquidan. W skład komitetu redakcyjnego tego tygodnika wchodzili ludzie najróżniejszych przekonań, temperamentów i upodobań. Od Tymona Terleckiego poprzez Ksawerego Pruszyńskiego do Rembieszkińskiego i Karola Zbyszewskiego. Red. R., który jest człowiekiem wyjątkowo pogodnym i zrównoważonym, dawał sobie doskonale radę w tym niezwykłym zespole, w którym niekiedy długo a zawsze gorąco dyskutowano nad najdrobniejszymi szczegółami pisma.

Po pogromie Francji zakłada w Anglii, w Biggar, „Dziennik Żołnierza” organ 10 brygady kawalerii pancerniej. Pismo ma ukazywać się początkowo w nakładzie 12 egzemplarzy. „Drukuje” się na hektografie

w kancelarii znajomego adwokata, który toleruje straszliwy bałagan redakcyjny z niezwykłą wyrozumiałością i prawdziwie angielską flegmą. Teraz „Dziennik Żołnierza” rozrósł się, zmężniał, jest najpoczytniejszym polskim pismem codziennym na terenie W. Brytanii.

Red. L. R. nie zagraża długo krzesła redakcyjnego w Anglii. Pewnego pięknego dnia spałował manatki i ruszył na podbój Ameryki. W Kanadzie zakłada tygodnik „Odsiecz”. Rekrutacja może nie dała spodziewanych rezultatów, nie była to wina red. R., który paradował w pięknej rogatywce godnie reprezentując fantazję kawalerską.

„Odsiecz” spełniła swę zadanie. Dla Polonii amerykańskiej „Odsiecz” była czytanką, abecadłem, z którego uczyła się zapomnianego języka ojczystego. Po zamknięciu „Odsieczy” redaktor wraca do Anglii, a stamtąd wypuszcza się po krótkim czasie na Bliski Wschód. Nie dlatego, że — jak nas zapewnia — nie mogli z nim wytrzymać w Londynie, a dlatego że w Bagdadzie powstać ma nowe pismo codzienne. Droga do nas była długa, a via Bombaj trwała przeszło 3 miesiące. Tak, że kiedy przybył do Bagdadu entuzjastycznie witany przez całą kolonię dziennikarską, dziennik już wychodził od kilku tygodni. Pierwszy raz od 39 r. poród

odbył się bez jego udziału. Red. L. R. obejmuje redakcję „Kuriera Polskiego”, gdzie dzięki pełnej poświęcenia pracy całego zespołu udaje mu się w niezwykle trudnych warunkach technicznych stworzyć dziennik odpowiadający potrzebom żołnierza. Na tym posterunku trwa, mówiąc językiem urzędowych biografii, do chwili kiedy powstaje projekt dziennika żołnierskiego.

W tym miejscu czas najwyższy, by dopuścić do głosu red. R.

— Jaki charakter będzie miał nowy dziennik żołnierski? — pytamy.

Redaktor uśmiecha się filuternie zza okularów.

— Niektórzy wyobrażają sobie zupełnie fałszywie — mówi — że pismo żołnierskie od pierwszej do ostatniej strony powinno pisać jedynie i wyłącznie o paradach i defiladach, że ma to być rozszerzony rozkaz dzienny. Moim zdaniem, żołnierzy liniowy nie gorzej od redaktora pisma wojskowego zna życie żołnierskie i nie musi być nim zanudzany codziennie jeszcze w gazecie. Żołnierz — mówię to na podstawie moich doświadczeń z Francji, Anglii i Kanady — pragnie wiedzieć, co się dzieje na świecie, chce by jego dziennik był przewodnikiem po wertepach wydarzeń politycznych i wojennych.

— Jaka jest w takim razie różnica między pismem cywilnym a wojskowym?

— Dziennik żołnierza — ciągnie dalej red. R. powinien przepuszczać każde wydarzenie przez pryzmat żołnierskiej myśli, żołnierskich potrzeb.

— Czy to nie brzmi trochę jak frazes, panie redaktorze?

— Nie tak szybko. Zaraz panu sprzecyżuję moje stanowisko. Żołnierz chce na wszystkie zagadnienia społeczne i polityczne patrzeć syntetycznie i widzieć je ujmowane z punktu widzenia Polski jako całości. W namocie żyją obok siebie w tych samych warunkach inteligent, chłop i robotnik. W tej chwili obchodzą ich rzeczy, które społeczeństwo łączy, za które wspólnie walczymy i wspólnie cierpimy. Naturalne i konieczne różnice interesów społecznych i politycznych znajdują swe rozwiązanie i płaszczyznę tarcia we właściwym czasie.

Robotnik ze Stalowej Woli, chłop matorolny z COP'u, strzelec inżynier ze Starachowic w tej chwili marzą o tym, jak wrócą do Kraju. Wszystkie inne kwestie, jak wysokość wynagrodzenia, reforma rolna nie istnieją dla nich w ogóle. Wojsko nie jest emigracją. Polska jest też tam, gdzie są obozy wojskowe, nawet na obecnej ziemi. Pismo żołnierskie, moim zdaniem, ma stać na straży klimatu tej wojskowej eksterytorialności. Nie chcemy emigracyjnych sporów, nie chcemy atmosfery kłótni. Te doświadczenia powinny służyć do stworzenia typu psychicznego żołnierza. Zacytuję w tym miejscu Żeromskiego, który napisał: „Nie możemy powrócić do ojczyzny nosząc w tornistrach stare błędy i grzechy”.

Rozmowa kończy się. Z niecierpliwością czekamy na pierwszy numer „Dziennika”, który ukazał się ma w początkach przyszłego miesiąca. „Orzeł” będzie wyrozumiały dla swego młodszego braciszka, który sądząc po papie zapowiada się na „chłopaczka” z temperamentem, trochę niespokojnego. Zetbe

GEN. KOPAŃSKI SZEFEM SZTABU
NACZELNEGO WODZA

Naczelnym Wódcą gen. broni Kazimierz Sosnkowski mianował gen. Stanisława Kopańskiego szefem sztabu Naczelnego Wodza.

W tych dniach gen. Kopański udał się do Wielkiej Brytanii objąć swe stanowisko.

WALKA
Z KOŚCIOŁEM
NA G. ŚLĄSKU

Prześladowanie Kościoła katolickiego na Górnym Śląsku występuje coraz bardziej na jaw, jako akcja zorganizowana. Niemcy przestają się liczyć z uczuciami religijnymi Ślązaków. Obowiązujące do niedawna rozporządzenie o niepowoływaniu do wojska pewnych grup ludności zostało uchylone. Należy też spodziewać się wcielenia do armii księży.

Wiele kościołów katolickich oddano pod zarząd pastorów ewangelickich, jako świątyni powierników. Z początkiem r. h. wszystkie cmentarze przeszły pod zarząd magistratów i urzędów gminnych, którym podlegają osobne urzędy pogrzebowe. Przewiduje się zupełne zlikwidowanie nagrobków z napisami polskimi.

(Biul. Inf.)

47 MILIONÓW CHURCHILLÓW

(Dokończenie ze str. 3)

niego droższe ponad wszystko — swój „home”. Lordowie i służące, robotnicy, ladies, dziewczynki usługujące w restauracjach — wszyscy razem wspólnie spędzają noc. Ten nowy tryb życia Anglik przyswoił sobie bardzo szybko. Przechybianie w jednej atmosferze wytworzyło niesłychaną solidarność. Można było rzec, że naród angielski dziś jest jednym ciałem, mającym 47 mil głów.

Na ulicach Londynu często można zobaczyć starszego pana z cygarem w ustach, z łaską w ręku, z ironicznym wzrokiem, maszerującego szybkim zdecydowanym krokiem — to Winston Churchill. Po długich godzinach pracy luhi on odpoczywać chodząc ulicami Londynu.

Zdawano się, że Anglia jest stracona. A jednak ten jeden człowiek potrafił pokazać wolę 47 milionów — że tak nie jest. Przychodzi kłęska „Luftwaffe” nad Anglią, a potem Berbera, Keren, Harar, Adis Abeba,

potem El-Alamein, Tunis — a zwycięstwu temu na imię Churchill.

To zdecydowanie, to przystosowanie się do konieczności chwili, najlepiej uwypukla charakter Anglików, tych Anglików, co podjąwszy raz decyzję nie zatrzymują się przed żadną przeszkodą. Anglia żyje, bije się zdecydowanie — nie woła tylko jednego człowieka Churchilla, ale woła 47 milionów Churchillów.

Anglicy są do siebie podobni. Trzeba cenić u nich to, co cenili się u koni: rasę i krew. Tę rasę i krew swoją, krew Marlborough'ów co znali tylko jedną zasadę w walce: atak — to Churchill przelał na 47 milionów Anglików. Naród angielski zespolony, posiadający jednolitą wolę, scementowany jednym pragnieniem zwycięstwa, broniący swej Magna Charta, ten naród — to 47.000.000 Churchillów, z którymi dziś ma Hitler do czynienia...

Maciej Jarzewski

NA GRUZACH ZŁEJ POLITYKI

KIELICH GORYCZY MUSSOLINIEGO

Bez względu jak oceniać będziemy ideologiczne i doktrynalne przemiany, które we Włoszech zachodziły już od pewnego czasu — czego dowodem był istniejący tam kryzys partii faszystowskiej — zasadnicze przyczyny upadku faszyzmu odnajdziemy w błędach jego polityki zagranicznej. Ona zgnębiła Mussoliniego i ona doprowadziła Włochy do klęski. To, co stało się we Włoszech, jest następstwem zerwania przez Mussoliniego jeszcze przed wojną ze spitzowymi zasadami włoskiej racji stanu i — pójdźmy na awanturę.

A z racją stanu igrać nie wolno. Zasady polityki zagranicznej każdego narodu wytknięte są przede wszystkim przez jego geopolityczne położenie i nie mogą być w swych podstawach gwałcone przez żaden rząd, żaden przewrót, żadną rewolucję. Nie mogą być dziełem żadnej najbardziej pomysłowej pozornie improwizacji.

ZACZEŁO SIĘ INACZEJ...

Włochy w swej obecnej postaci państwa narodowego są organizmem młodym. Dopiero w r. 1918 po zwycięskiej wojnie z Austro-Węgrami osiągnęły zjednoczenie narodowe. Wojna ta rozbudziła w nich ambicje, których w ich mniemaniu konferencja pokojowa nie zaspokoila. Nie jest prawdą, że dopiero Mussolini podniósł bunt przeciw aliantom Włoch z poprzedniej wojny. Czynili to już jego poprzednicy. Przecież delegaci włoscy na konferencję pokojową w r. 1919 Orlando i Sonnino chcieli zerwać jej obrady. Opuścili nawet Paryż oburzeni zwłaszcza na Wilsona. Nie jest też prawdą, jakoby Mussolini od pierwszej chwili swych rządów wysługiwał się Niemcom. Wręcz przeciwnie. Chwalił się on zawsze, że należał do tych, którzy w r. 1915 przyczynili się do interwencji Włoch po stronie Anglii i Francji. Mało kto tak, jak on naurażał Niemcom, gdy Stresemann w jednej ze swych mów zgłosił pretensję do Górnej Adygi — włączoną po tamtej wojnie do Włoch skrawka Tyrolu. A gdy Hitler dokonywał pierwszego zamachu na Austrię i gdy ofiarą mordu padł kanclerz Austrii Dollfuss, dyktator włoski posłał wojska na granice Austrii, grożąc Niemcom wojną. Austria pozostała niepodległa. Było to wszakże ostatnie niezależne w stosunku do Niemiec pociągnięcie Mussoliniego, które nadało mu autorytet samodzielnego czynnika w polityce europejskiej. Aktywne Włochy zaczęły prześcigać bierną Francję. Mussolini przez długie lata rozumiał, że Włochy kraj w zasadzie biedny, pozbawiony surowców, mający trudne do obrony granice morskie, może utrzymać się przy głosie jako wielkie mocarstwo, jedynie przez prowadzenie giętkiej i rozumnej polityki równowagi europejskiej, wzorowanej w dużej mierze na polityce brytyjskiej. Przyjaźń i współpraca z Wielką Brytanią należały też do tradycyjnych przykazań włoskiej polityki zagranicznej.

Wielka Brytania popierała te tendencje. Widziała istotnie we Włoszech czynnik równowagi europejskiej i śródziemnomorskiej, a nawet przeciwwagi polityce francuskiej. Bez zażycia spoglądania na rozwój floty włoskiej, która jednak mogła rozstać się jedynie w cieniu potężnej floty

brytyjskiej. Jeszcze w 1925 r., a więc za rządów Mussoliniego zarysowała się równoległość stanowisk Wielkiej Brytanii i Włoch, kiedy oba te kraje w układach w Locarno zapewniły sobie rolę gwarantów i rozjemców w ewentualnych sporach francusko-niemieckich.

POCZĄTEK AWANTURY

Później, znacznie później Mussolini wszedł na drogę zrywania z tradycyjnymi założeniami polityki włoskiej. Zaczął nabrzmiewać zatarg francusko-włoski. Polityka francuska nie należała do najszcześliwszych w ciągu dwudziestolecia poprzedzającego tę wojnę. Można jej zarzucić, że nie starała się dostatecznie o ustalenie współzwiązania z Włochami na znośnych warunkach. Ale i Włosi swymi nieustannymi prowokacjami doprowadzali Francuzów do białej gorączki. Nienawiść do Włoch stała się też jedną z przyczyn rzucenia się sęczyści Francuzów w objęcia Niemców. Dziś oba te łańcuchowe kraje ponoszą smutne następstwa swoich sporów.

Nieustanne przekomarzenie się z Francją nie przysiało Rzymowi niezbępieczeństwa niemieckiego. Były próby powrotu do koalicji tamtej wojny, do frontu angielsko-francusko-włoskiego. Była konferencja w Stresie. Mussolini wszakże doszedł do błędnego wniosku, że Anglia i Francja weszły w okres upadku, że są niezdolne do czynu i że w takim razie lepiej urzeczywistnić swe zamiary nie przeciw Niemcom, ale obok Niemiec, łącząc się z nimi w planie rozbicia zarówno Imperium Francuskiego, jak i Brytyjskiego.

I to był błąd zasadniczy. Istnieje w polityce europejskiej reguła, której nikomu gwałcić nie wolno: kraj europejski wiążący się z najpotężniejszym na kontynencie sąsiadem traci faktyczną niezależność. Mussolini poświęcił tę regułę, łącząc się z silniejszymi Niemcami przeciw słabszej Francji, a w dalszej konsekwencji przeciw „dogorywającej”, jego zdaniem, Anglii.

Polityka ta dała mu na razie Abisynię i zaspokoila ambicję kolonialną oraz imperialną. Lecz awantura w Afryce związała mu ręce w Europie. Dla odległej Abisynii Mussolini poświęcił politykę równowagi, niezależność Austrii, tradycyjną przyjaźń z Anglią, uzależnił się natomiast od najsilniejszego w danej chwili mocarstwa europejskiego — Niemiec. Podbój Abisynii nie wzmocnił stanowiska Mussoliniego w Europie, ale je osłabił. Gdy w marcu 1938 r. Mussolini zgryzając z irytacji zębami zgodził się bez słowa protestu na wcielenie Austrii do Niemiec i zadowolony się klepiącymi go po ramieniu podziękowaniem Hitlera: „Duce, nigdy ci tego nie zapomnę” — niezależność jego była skończona. Od tej chwili zaplątał się coraz bardziej w matni swej błędnej polityki.

PRZYJACIEL, KTÓRY BYŁ RYWALEM

Mussoliniego mimo wszystko bowiem niepokoił wzrost Rzeszy. Nie wiedział przecież, w którym kierunku zwróci się fala niemiecka. Czy pójdzie na wschód? Czy na zachód? Czy też właśnie na południe? Próbował organizować przeciw niej zapy. Stąd, jego przyjaźń z Węgrami,

oddziaływanie na Rumunię, Bułgarię, szukanie nawet współpracy z Polską. Hitler nie przestawał być mimo wszystko rywalem Mussoliniego. Świadomość tego pchnęła wszakże w końcu dyktatora Włoch na najgorsze tory naśladowstwa. „Potrafie to, co Hitler” — zdawał się mówić Mussolini, gdy po inkorporacji Czech i Moraw do Rzeszy zajmował biedną Albanii i gdy ponasze klęsce wrześnieowej obwieszczał lekkomyślnie „Polonia e liquidata”, choć nawet ludzie z jego otoczenia wyrażali wobec Polaków pragnienie, by Polska broniła się jak najdłużej. Takie były motywy jego kroku, gdy rzucił się na upadającą Francję. Uważał wszakże uczestniczenie w łupach wojennych za fatalną konieczność. Bał się, że Niemcy sami obdziałają się Francją, że sami rozrosną się i dysproporcja między nimi a Włochami będzie wzrastała. Tym samym niepokojem dyktowany był jego nieopatrzny gest wysłania eskadry lotniczych do bombardowania Londynu, ale znowu obawa, że Niemcy sami rozgromią Wielką Brytanię i że sami podyktują jej pokój, skłoniła go do narzucenia swego udziału w przedsięwzięciu, co było jednym z jego największych błędów.

Ta sama troska pchnęła go do uderzenia na Grecję wbrew nawet przestrogom Hitlera. Ale Mussolini chciał mieć samodzielną decyzję w Europie, chciał ubiec Hitlera na Bałkanach. Nie udało się. Włosi byli bici przez Greków, byli bici wszędzie, gdyż armia ich do wojny nie była gotowa. Włochy potrzebowały pokoju i tylko pokój mógł im zapewnić utrzymanie tego, co miały.

NIEPOTRZEBNA WOJNA

Wojna wszczęta przez Hitlera w r. 1939 przychodziła dla Włoch za wcześnie. Była im nie na rękę. Owcześnie dążenia pokojowe Mussoliniego były zapewne szczerze. Szczere też pragnął jak najdłużej zachować neutralność. Ale ciągła obawa, że Niemcy go ubiegają w zdobyciach, pchnęła go do wojny wbrew rozsądkowi, wbrew polityce angielskiej i nawet wbrew — Niemcom.

Anglia — przyznać to trzeba — robiła do końca wszystko, by Włoch nie drażnić. Pogodziła się z ich podobnymi afrykańskimi dokonaniem w chwili największej słabości Wielkiej Brytanii, która przeżywała wówczas następstwa swego odurzenia pacyfizmem oraz złudzeniami rozbrojenioymi. Jeszcze w styczniu 1939 r. przybył do Rzymu premier Chamberlain, by perswadować i przekonywać. Jeszcze po rozpoczęciu wojny w r. 1939 szły transporty węgla brytyjskiego dla Włoch.

Anglia nie chciała wojny z Włochami. Ale rzecz ciekawa: nie należała na przystąpienie Włoch do wojny również i Niemcy. Hitler chciał wygrać wojnę europejską sam. Nie zależało mu wcale na sukcesach włoskich. Wiedział, że z Włochami walczącymi będzie miał więcej kłopotów niż korzyści, co zresztą okazało się słuszne. Włochy neutralne, nie walczące, szantażujące jednak nieustannie koalicję przystąpieniem do wojny oraz unieruchamiające znaczne siły aliantów, a jednocześnie zamykające w ten sposób dostęp do Europy — oddawałyby Rzeszy znacznie większe korzyści, niż Włochy bijące się, a raczej nieustannie bite. Dlatego też i dziś polityka nie-

miecka niczego więcej nie pragnęła, jak powrotu pokonanych Włoch do neutralności, jak zamknięcia neutralną Italią jednych z otwierających się wrot na kontynent europejski.

Decyzją przystąpienia Mussoliniego do wojny była krokiem samodzielnym. Był on dyktowany nadzieją utrzymania niezawisłości Włoch u boku Niemiec. Ryzyko tego kroku było wszakże widoczne nawet dla Włochów. Stąd próby do ostatniej chwili organizowania dookoła Rzymu śródkiowo - europejskich partnerów „osi”, stąd nawet uprzejmości, jakie władze włoskie — mimo wielu oburzających oświadczeń na temat Polski — czyniły Polakom w czasie tej wojny przepuszczając przez swe tereny transporty żołnierzy naszych z Rumunii i Węgier do Francji, wstawiając się nieraz w obronie Polaków u władz niemieckich, traktując na ogół przyzwoicie uchodźców polskich. Jeszcze niedawno w Rzymie, o parę kroków od siedziby Mussoliniego, w kościele św. Stanisława odbyła się uroczysta msza św. za duszę ś. p. gen Sikorskiego — wypadek nie do pomyślenia w Berlinie i w Rzeszy. Ale wszakże te dyskretne posunięcia potwierdzały jedynie pogląd, że nawet w mniemaniu faszystów ich polityka współpracy z Niemcami była niebezpieczna. Mussolini musiał wypić do dna kielich goryczy swej polityki. Doczekał się w końcu odmowy pomocy od „przyjaciela”, który obiecywał mu przecież, że nigdy mu nie zapomni jego zgody na aneksję Austrii. Zamiast pomocy orężnej Hitler przelał swemu zbankrutowanemu partnerowi jakby na urągowisko komplet dzieł Nietschego.

Spuścizna po Mussolinim jest oplakana. Włochom grożą dziś dwie sprawy: anglo-amerykańska z południa i niemiecka z północy, grozi im wydanie kraju na łup obcych armii. Grożą im ponadto rozruchy i anarchia. Marszałek Badoglio chciałby uniknąć wszystkich tych następstw klęski, zarówno inwazji, jak i anarchii. Dlatego zwleka z decyzją. Nie chce powtarzać błędów Petaina i nie mówi jeszcze o pokoju, by nie rozstrząsał wojska. Nie zrywa jeszcze z Niemcami, bo boi się ich odwetu. Sądzi, że uda mu się wyjednać takie warunki pokoju od aliantów, za których przyjęcie nie spotka go zemsta ze strony Niemiec. Marzenia te są jednak zbyt piękne, by mogły się urzeczywistnić. Zaden rząd włoski finezją czy grą na zwłokę nie uniknie następstw przegranej wojny. W sytuacji, która wytworzyła się, trzeba umieć wybrać z różnych ofiar najmniejszą i najowocniejszą. Trzeba wysnuć śmiało konsekwencje z wytworzonej sytuacji i zerwać odważnie z błędami przeszłości. Otwarte przetrzenie się Włoch na stronę sprzymierzonych, powrót do tradycyjnej polityki przyjaźni z W. Brytanią, wystąpienie przeciw najędźszy niemieckiemu dawaloby Włochom najpewniejsze szanse zajęcia z powrotem należnego im miejsca w koncercie europejskim i ochroniłoby je przed grożącą anarchią. Zarówno jeden jak i drugi cel leżą w interesie całej Europy. Nikt przytomny nie chce niszczyć narodu włoskiego, ani go anarchizować. Pytanie tylko, czy we Włoszech znajdują się ludzie dość silni, którzy potrafią podjąć taką decyzję.

DYSKUSJA O TEATRZE

GŁOS ARTYSTY:

Nasze czynniki propagandowe niewątpliwie zadały kłam starożytnemu twierdzeniu, że „szczęk oręża płoszy muzy”. Niespełnione bynajmniej, karne i chętne, stanęły do apelu prawie wszystkie muzy.

Świadczą o tym liczne wystawy malarskie, koncerty, audycje radiowe, wydawnictwa ilustrowane i występy teatralne artystów polskich. Ocenę tego zbiorowego wysiłku sztuki polskiej na obczyźnie pozostawiam niezmiernie życzliwej prasie miejscowej i wydawnictwom polskim.

Chcę natomiast zastanowić się tu wyłącznie nad sprawą teatru, sine irae et studio, nie skrepowany względami kurtuazji, jaką okazują niewątpliwie dzienniki Iranu, Iraku, Palestyny czy Egiptu naszym widowiskom teatralnym. Byłem kolejno świadkiem występów Teatru Żołnierskiego we wszystkich wymienionych krajach i cieszyłem się narówni z aktorami z tego naprawdę niezwykłego powodzenia przedstawień.

Cenię wysoko zasługę propagandową T. Z. P., niezwykłą giętkość materiału aktorskiego i zręczność kierownictwa w doborze utworów i układzie widowisk na użytek publiczności cudzoziemskiej.

Poszczególnych wykonawców znam od wielu, wielu lat. Znam wysoką skalę ich talentu, ich wielkie możliwości i szczerą zapal.

I właśnie dlatego z pewnym niepokojem, a może nawet z żalem, oceniam obecny poziom T. Z. P.

Powodzenie jest rzeczą względną. Doraźny sukces zmarował niejednemu teatr, zaszkodził niejednemu artyście spychając go na linię najmniejszego oporu.

Aprobowana przez publiczność zgrabna sztuczka demoralizuje aktora i kierownictwo.

Wygodna i przyjemna jest siesta na wawrzynach, ale i wawrzyny wędzną z czasem, zwłaszcza jeśli zbyt długo służą jako siennik.

Niedowiedzią przysługę oddaje się teatrowi, kładąc mu stałe z przekonania, a cóż dopiero „dla zasady”!

Na przedstawieniu galowym w Aleksandrii z niesmakiem obserwowałem wśród obecnej publiczności pewnego pana w mundurze polskim, który rozglądając się z dumą po widowni, powtarzał w głos: „Epatant! Merveilleux! Extraordinaire!” Zaślepiony czy gorliwość?... Przede wszystkim — nietakt. Pozwólmym obcym entuzjazmować się naszym teatrem, wypisywać hymny pochwalne na jego cześć, ale w swoim kółku — bądźmy szczerzy... Wiemy dobrze, że nasze wymagania sięgają znacznie wyżej. Ze T. Z. P. nie jest bynajmniej próbka czy wykładni-

kiem teatru przedwojennego w Polsce.

Wiemy dobrze, że na tle wysokiej kultury teatralnej w kraju widowiska takie jak „Polish Parade” mogłyby zadowolić tylko bardzo średnie wymagania.

Ze nawet w dziedzinie rewii daleko temu widowisku do tego, co przed wojną oglądaliśmy w „Qui-pro-quo”, „Cyryliku”, „Bandy” czy nawet w „Morskim oku”.

Oczywiście — czas jest wojenny i „według stawu grobla”, ale... czy aby naprawdę nie stać nas na coś więcej? na bogatszą inwencję, na wyższy poziom?...

Powodzenie obecnych programów u publiczności cudzoziemskiej, rozpatrywane na trzeźwo tłumaczy się w dużej mierze sympatią, a przede wszystkim koniunkturą. Wyjątkowa posucha widowiskowa na Wschodzie sprawia, że składne i barwne przedstawienia T. Z. P. są ewenementem na bezrybiu.

Czy dają one jednak cudzoziemcom pojęcie o poziomie teatru w Polsce? Sądzę, że nie. Ale to nie najważniejsze. Zło zasadnicze leży gdzie indziej.

Dzięki opiece władz udało się uratować i zebrać sporą grupkę utalentowanych ludzi teatru w ramach T. Z. P. Mam na myśli nie tylko rewię „Polish Parade”, ale i inne czołwki teatralne (wraz z „zabkującą” jeszcze grupą komediową).

Poza dostarczeniem rozrywki żołnierzowi polskiemu w dobie obecnej, poza propagandą zewnętrzną, intencje władz szły niewątpliwie w kierunku zapewnienia powojennej Polsce kadr przyszłego teatru. Przetrzebione przez okupantów szeregi aktorstwa polskiego odnaleźć mają tę rezerwę w jak najlepszej kondycji artystycznej, gotową do odbudowy scen polskich.

I tu właśnie nasuwają się smutne refleksje. Jaka będzie kondycja tej rezerwy?

Zmanierowani przeżywaniem tego samego (często jeszcze przedwojennego) repertuaru, pchawieni jakiejkolwiek linii wytycznej, odwykli od systematycznej pracy teatralnej — nie tylko stanęli na martwym punkcie rozwoju, ale — co gorsza — w wielu wypadkach mocno cofnęli się w kondycji.

Mam tu na myśli tzw. „gwiazdy”. Młodzież, narybek, który zrodziła wojna, idzie sobie sanopas, manierując wrodzone, czasem nieprzeciętne zdolności.

Nie wątpię w najlepsze chęci Wydziału Propagandy i Oświaty, któremu podlegają teatry Z. P., wiem również, że w nawale spraw bieżących, w warunkach przedłużającej się „tymczasowości” trudno jest uporać się z tymi sprawami.

Ale trudno nie znaczą, że nie można.

Musi znaleźć się człowiek (lub może cała zbiorowa?), który wprowadzi tę sprawę z chaosu, wprowadzi do zespołów pracę systematyczną i twórczą, wyciągnie ten „wóz Tespisa” z niebezpiecznych kolein rutyny i szablonu.

Wydziałowi Prop. i Ośw. pozostawiam tylko troskę o stworzenie odpowiednich warunków dla tej sanacji T. Z. P.

Konrad Tomi

ODPOWIEDŹ REŻYSERA:

Artykuł p. K. Toma, pisany niewątpliwie w najlepszej intencji, może się stać przyczyną pewnych nieporozumień.

Chyba jest oczywiste, że sztuka polska na uchodźstwie bynajmniej nie odzwierciedla sztuki w Polsce przedwojennej. Ograniczając rozważania wyłącznie do sztuki teatralnej, stwierdzimy fakt istnienia w Polsce kilkudziesięciu teatrów dramatycznych i kilkunastu rewiiowych. W Armii Polskiej na Wschodzie są dwa zawodowe zespoły rewiiowe i jeden zabkujący teatr dramatyczny, nie licząc 3—4 sztuk granych przez różne zespoły.

Autor artykułu twierdząc, że T. Z. P. nie jest próbą lub wykładnikiem teatru przedwojennego w Polsce, musiałby dodać, że chodzi o przedwojenny teatr dramatyczny, gdyż czołówka rewiiowa (T. Z. P.) właśnie jest próbą i wykładnikiem rewiiowych teatrów i to próbą wcale dobrego gatunku.

Właśnie poziom T. Z. P. jest przyczyną główną powodzenia tego teatru, a nie „kurtuazja” lub „posucha widowiskowa”, jak twierdzi p. K. Tom.

Należałoby również jaśniej postawić sprawę tego, że „intencje władz szły niewątpliwie w kierunku zapewnienia powojennej Polsce kadr przyszłego teatru” i że „przetrzebione przez okupanta szeregi aktorstwa polskiego odnaleźć mają tę rezerwę w jak najlepszej kondycji artystycznej, gotową do odbudowy scen polskich”.

Z pewnością cioci okupantów przedzielili szeregi aktorów teatrów dramatycznych jak i rewiiowych, ale gdy się mówi o obudowie scen polskich, ma się na myśli teatry Narodowy, Polski, Wielki w Łwowie, im. Słowackiego w Krakowie, miejski w Wilnie, a potem dopiero te-

atry rewiiowe, którym okupant podobno pozwala pracować.

Dlatego sądzę, że przedstawienie zespołu rewiiowego T. Z. P. nie jest dostatecznym oparciem dla wniosków p. Toma w tej sprawie.

A teraz, co do samych teatrów rewiiowych.

Zarówno „Qui pro quo” jak „Cyrylik” i „Banda” były teatrami rewiiowymi o wysokim na ogół biorąc poziomie. Ale trudno byłoby mówić o „linii wytycznej” tych teatrów, natomiast należy mówić o rodzajach przedstawień, wabających się od tzw. kabaretu literackiego („Qui pro quo”, „Cyrylik”) do rewii o charakterze widowiskowym („Morskie oko”).

Programy tych teatrów były lepsze lub gorsze, a zależało to w pierwszym rzędzie od tekstów, no i oczywiście od klasy wykonawców. Trudno sobie wyobrazić programy teatryków literackich tamtych czasów bez tekstów Hemara, Tuwima, Szelechtera, bez Ordonki, Dymyzy, Jarosy'ego i kilku innych, a rewii „Morskie oko” bez sporej ilości ładnych „girls”, pysznych kostiumów i efektownych dekoracji.

Nasz teatr rewiiowy T. Z. P., jak i druga czołówka rewiiowa chorują na brak tekstów, bo najlepsze, ale wciąż jeden i ten sam refren, jeszcze nie tworzy nowej piosenki. Znane są również autorowi „Głosu” połowe warunki pracy „pośród szczerki broni”, który co prawda nie głuszy muzy, ale pomiędzy jednym „Baczność!” a drugim muza czuje się trochę nieswojo.

Natomiast wszystkie troski p. K. Toma o wy szy jeszcze poziom, o młody narybek, o lepszą kondycję (chorują bardzo!) są całkiem usprawiedliwione i wszystkie konkretne propozycje w tym zakresie są niewątpliwie nader pożądane.

Wacław Radulski



Premiera teatru dramatycznego „Damy i huzary” odniosła pełny sukces. Na zdjęciu reżyser W. Radulski tłumaczy wykonawcy roli Kapelana I. Karpowiczowi, że egzemplarz sztuki jest już niepotrzebny. Sztukę trzymają w swoich rękach artyści.

Przekazy pieniężne

W Referacie Rodzin Wojskowych znajdują się przekazy pieniężne z Londynu dla:

Haftke Edward, strzel.
Janowicz Zdzisław, Stanisław pchor.
Nowacki Stanisław, mąż Anny
Holzer Kurt
Kossowski Adam

Zalewska-Radke Apolonia
Byrnacka vel Biernacka z domu
Kucaluk Anna

Musiał-Chowka Anna
Kto ma bliższe wiadomości (Nr
Paiforce) o powyższych osobach
proszony jest o powiadomienie Ref.
Rodz. Wojsk. w Teberanie — PFP. 80.

PAMIĘTAJ
— O —
DZIECIACH
POLSKICH
W Z.S.R.R.

tygodniowy

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

ZPH

NIESPEŁNIONE NADZIEJE

Obalenie Mussoliniego wywołało dość powszechne nadzieje, że kapitulacja Włoch jest już tylko kwestią najbliższych dni. Marszałek Badoglio zapowiedział wprawdzie, że walka trwa w dalszym ciągu, ale nie mówił nic o zwycięstwie a prawnie o sojuszu z Niemcami. Wnioskowano więc, że deklaracja jego o kontynuowaniu wojny ma czysto taktyczny cel: powstrzymanie wojsk włoskich od natychmiastowej kapitulacji na polu walki, zapobieżenie ewentualnej anty-włoskiej interwencji Niemiec oraz umożliwienie sobie pertraktacji z aliantami.

Minał jednakże tydzień od chwili przewrotu a Włochy ani nie skapitulowały ani nie zerwały sojuszu z Niemcami. Przeciwnie, wydaje się, że Niemcy nawet wzmocnili swe stanowisko we Włoszech, przysyłając tam nowe wojska i obsadzając szereg punktów strategicznych w północnych Włoszech.

Drugim zawodem sprzymierzonych jest brak silniejszej reakcji społecznej we Włoszech na klęskę militarną. Przepuszczano, że zmiana reżimu spowoduje wewnętrzne przemiany polityczne, które doprowadzą do zmiany polityki zewnętrznej Rzymu. Tymczasem ani przejęcie władzy przez króla i marsz. Badoglio, ani nawet rozwiązanie partii faszystowskiej nie pociągnęło za sobą poważniejszych wstrząsów. Okazało się, że reżim, który przez 21 lat rządził Włochami i który postawił sobie za zadanie całkowite przetworzenie nie tylko ustroju państwowego Włoch, zapuścić płytke korzenie aniżeli się to mogło wydawać. Faszyzm padł nie broniąc się niemal wcale.

DOKĄD ZMIERZA BADOGGIO?

Zagadnienie, jakie są zamierzenia nowego rządu włoskiego, dominuje w hierarchii zainteresowań politycznych obecnej chwili. Przepuszczenia wyrażane przez niektórych, że zmiana reżimu miała jedynie na celu wprowadzenie w błąd sprzymierzonych i uzyskanie pewnej przerwy w bombardowaniach — nie wytrzymuje krytyki.

Upadek Mussoliniego był niewątpliwie skutkiem wytworzenia się we Włoszech przekonania, że wojna jest przegrana i że należy wycofać się z walki zanim nastąpi całkowite zniszczenie kraju. Dlatego też wyliczą rządu Badoglio jest nie wojna, nie zwycięstwo, lecz kapitulacja. Włochom chodzi jednak o to, aby uzyskać od sprzymierzonych możliwie dogodne warunki rozejmu oraz, by nie wejść przy tej okazji w konflikt z Niemcami. Równocześnie nowy rząd włoski liczy się zapewne z możliwością prób rewolucyjnego przewrotu wewnętrznego, który mógłby znaleźć poparcie z zewnątrz i przynieść im zapobiec przez możliwe szybkie wyprawowanie Włoch z wojny. Słowem, Badoglio chciałby odegrać rolę włoskiego Petaina.

Alianci nie szczędzili w pierwszym tygodniu rządów marsz. Badoglio zachęty dla jego zamierzeń politycznych. Churchill oświadczył: „dziś, gdy Mussolini odszedł i potęga faszystowska została złamana byłoby śmiałą do porozumienia z narodem

włoskim. Gdy sprawy włoskie znajdą się w stanie przetwarzania się, byłoby wielkim błędem ze strony W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych działać tak, by doprowadzić do runięcia całej struktury państwa włoskiego. Z pewnością nie chcemy doprowadzić życia Włoch do stanu chaosu i anarchii, bez wszelkich władz, z którymi moglibyśmy rozmawiać”. Gen. Eisenhower, naczelny dowódca wojsk sprzymierzonych w rejonie Morza Śródziemnego, poszedł jeszcze dalej. Wyraził Włochom i domowi królewskiemu uznanie za wypędzenie Mussoliniego zaznaczając, że w tej chwili jedyną przeszkodą na drodze do pokoju są Niemcy przebywający na ziemi włoskiej. Gen. Eisenhower mówił: „Chcicie pokoju. Możecie mieć pokój natychmiast i to pokój na honorowych warunkach zaoferowanych wam już przez nasze rządy”. Gen. Eisenhower nie wyjaśnił jednak bliżej, co należy rozumieć przez te „honorowe warunki”.

Jest rzeczą niewątpliwą, że jeżeli sprzymierzeni postawili Włochom jakieś warunki rozejmu, to nie zostały one przyjęte. Z Rzymu pochodzi pogłoska, jakoby sprzymierzeni mieli żądać od Włoch prawa na okupację militarną ich terytorium. Żądanie to zostało jakoby odrzucone, gdyż jak twierdzą Włosi jego przyjęcie miałoby ten skutek, że Włochy stałyby się terenem walk. Ze swej strony Włosi mieli proponować zaprzestanie działań wojennych pod warunkiem neutralizacji Półwyspu Apenińskiego. Min. Eden oświadczył natomiast w Izbie Gmin, że poza „bezwarunkową kapitulacją” nie stawiano Włochom żadnych warunków rozejmu.

CO ZROBIĄ WŁOCHY?

Sytuacja Włochów jest więc bardzo trudna. Dalsze prowadzenie wojny uważają sami za bezcelowe i wiedzą, że nie może im ono nie przynieść poza zniszczeniem kraju i ofiarami w ludziach. Kapitulować nie mogą bo w kraju stoją Niemcy, którzy dobrowolnie z niego nie wyjdą i którzy Włochom na kapitulację nie pozwolą. Pozostaje jeszcze trzecia ewentualność: zmiana frontu, przejście do obozu sprzymierzonych i uderzenie na Niemców. Wreszcie nie jest wyłączone, że rząd włoski przypuszcza, że i w Niemczech w obliczu nieuchronnej klęski dokona się niebawem przewrót wojskowy połączony z obaleniem Hitlera i że wówczas będą mogli Niemcy i Włochy wspólnie uzyskać lepsze warunki pokoju od sprzymierzonych.

Istnieją wszelkie podstawy do przypuszczenia, że nie tylko sprzymierzeni, ale i sami Włosi uważali obalenie faszyzmu za wstęp do kapitulacji. Jeżeli przeto wojna toczy się będzie dalej należy się liczyć z możliwością obalenia rządu marsz. Badoglio przez społeczeństwo włoskie. Wówczas władze objęłyby prawdopodobnie socjalistyczne patrye robotnicze, które szybko się reorganizują i rozwijają coraz zwyższą działalność za pokojem. Podnoszą też głosy komunistki.

Włochy nie wiedzą więc co robić.

Szansa ich na kompletne wycofanie się z wojny i uniknięcie stania się teatrem działań wojennych są znikome. Jeżeli nie chcą znieść biernie cierpień wojny i uniknąć totalnego zniszczenia muszą walczyć. Ale po czyłej stronie? Upadek faszyzmu zerwał jedyny węzeł łączący ostatnio Włochy z Niemcami tj. wspólnotę ideową. Logicznym następstwem buntu przeciwko osiowej polityce Mussoliniego winna być polityka antyniemiecka. Nie uchroniłaby ona Włoch od ofiar, ale zapewniłaby im bez wątpienia należyte miejsce w rodzinie narodów europejskich.

NIEMCY W IMPASIE

Dla Niemców jasne jest, że Włochy przestaną być w najbliższym czasie poważnym czynnikiem w walce przeciw aliantom. Rozumieją, że gdyby rząd Badoglio, czy inny rząd włoski chciał szczerze kontynuować wojnę, nie będzie mógł tego uczynić wobec nastrojów antywojennych, jakie się we Włoszech ujawniły i które będą z każdym dniem przybierać na sile. Z tą chwilą staje przed Niemcami zapytanie czym wypełnić lukę jaka się wytworzy przez odpadnięcie Włoch. W tej chwili nie mówiąc już o terytorium macierzystym, wojska włoskie obsadzają znaczną część Jugosławii, Albanie, niemal całą Grecję, większość wysp greckich i część południowej Francji. Całość sił włoskich oceniana jest jeszcze na 50 dywizji. Trzeba by będzie zastąpić wojskami niemieckimi, w przeciwnym razie tereny okupowane przez Włochów staną się łatwym łupem sprzymierzonych.

Zdaniem Churchilla, Niemcy posiadają w tej chwili 300 dywizji, z których nie wszystkie oczywiście uważać należy za bojowo pełnowartościowe. Z tego 190 dywizji stoi na froncie rosyjskim. W istniejącej sytuacji Niemcy nie mogą wycofać stamtąd żadnych oddziałów, przeciwnie muszą się liczyć z koniecznością uzupełniania dużych strat, jakie ponoszą stale na wschodzie.

50 dywizji strzeże zachodnich brzegów Europy, od Norwegii do granicy hiszpańskiej. One również stanowią do minimum niezbędne dla skutecznej obrony przed stale możliwą inwazją. Około 12 dywizji niemieckich stoi na Bałkanach, 3 lub 4 znajduje się w bezradziejnym położeniu na Sycylii, około 10 broni południowych brzegów Francji, a przynajmniej 12 stoi wewnątrz Europy stanowiąc garnizony okupacyjne w podbitych krajach. Hitler nie posiada więc niemal zupełnie rezerw i problem „zbyt krótkiej koldry”, który już kiedyś omawialiśmy tutaj, staje się dla Niemców niezbędnie aktualny. Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja Niemiec jeżeli chodzi o lotnictwo. Alianci posiadają w tej dziedzinie już dziś druzgoczącą przewagę, a możliwości Rzeszy stale maleją.

Straciwszy praktycznie znaczną część przemysłu nadreńskiego, Niemcy rozbudowali przemysł wojenny na terenach Austrii, Czechosłowacji i Polski. Jeżeli sprzymierzeni zajmą południowe Włochy, co w każdym razie jest kwestią niedługiego czasu,

zyskają bazy lotnicze, z których będą mogli bombardować całą środkową Europę. Nowowbudowany przemysł niemiecki czeka więc los Essen, Kolonii i Hamburga.

ZDOBYCIE ORLA

Wielkie trudności powoduje dla Niemców rozwój wypadków w Rosji. Po blisko dwumiesięcznych walkach prowadzonych ze zmiennym szczęściem, Rosjanie odnieśli sukces, który może mieć daleko idące następstwa. Orzeł, obok Smoleńska i Charkowa, jeden z najważniejszych bastionów obronnych frontu niemieckiego został zdobyty przez armię czerwoną. Jest to pierwsze wielkie zwycięstwo odniesione przez Rosjan w porze letniej, która dotychczas była sezonem sukcesów niemieckich. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że równocześnie obie próby Niemców przejścia do działań ofensywnych, pod Biłgorodem i w Zagłębiu Donieckim zakończyły się fiaskiem, powaga sytuacji w jakiej się Niemcy znaleźli wydatnia się w całej pełni.

Ostatnie wypowiedzi komentatora radia niemieckiego gen. Dietmara nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do tego, że Niemcy zrezygnowali w tym roku z działań zaczepnych na większą skalę. Gen. Dietmar usiłował przekonać przy tym swoich niemieckich słuchaczy, że i defensywnie można wojnę wygrać. Liczył widocznie na krótką pamięć swych rodaków, którym przez cztery lata uzasadniano wyższość doktryny ofensywnej nad defensywną. Upadek Orła i przebieg walk na Sycylii, gdzie po upadku Katanii Niemcy stoją przed kapitulacją, nie utwierdza Niemców w wierze w słuszność wywodów gen. Dietmara.

WOLNI NIEMCY

W miarę jak wojna zdaje się zbliżać ku końcowi coraz częściej stają się dyskusje na temat systemu rządzenia jaki należy wprowadzić w Europie bezpośrednio po zwycięstwie. W związku z tym koła angielskie zwracają baczną uwagę na powstałe pod protekcją Moskwy: prowizoryczny rząd fiński, tzw. związek patriotów polskich i komitet wolnych Niemców.

Omawiając tę sprawę na łamach „New York Post” lewicowy publicysta amerykański Edgar Mowrer pisze: „Narzuca się pytanie, czy w planach Stalina kraje te (tj. Polska, Niemcy i Finlandia) mają mieć rządy komunistyczne Inb pół-komunistyczne w rodzaju tych, jakie Sowiety poprzednio wprowadziły na Litwie — czy też mają one być niepodległymi państwami” I dalej — „Stalin musi zrozumieć, że W. Brytanii i St. Zjednoczone mają co najmniej takie samo prawo do interesowania się przyszłością Niemiec, jak Rosja.

Wówczas — kończy Mowrer — każde mocarstwo może obrać drogę własną i zabezpieczyć się w duchu prawdziwej przyjaźni”.

Od siebie dodajemy: Od dawna wiemy o co chodzi i dlatego nie od dziś szukamy zabezpieczenia właśnie w duchu prawdziwej przyjaźni.

Z. R.

ORZEŁ a MUZY

Wojnę porównywano do bardzo wielu rzeczy. Przede wszystkim do różnych gier — do szachów, gdzie zwyciężają przemyślane posunięcia strategiczne, do pokera, którego rozgrywa się bluffem, do bakarata, w którym rozstrzygają pieniądze. Rosjanie określają często wojnę jako pochód, podobnie jak my, gdy mówimy o wyprawach krzyżowych. Morand nazywa ją po prostu podróżką. Doświadczaliśmy na sobie trafności tej definicji, wiemy w jak potężnej skali wojna jest emigracją i wędrownką narodów. Niekiedy nazywa się wojnę rzemiosłem, techniką, wiedzą...

INTER ARMA...

Mówi się też często o sztuce wojennej. Na Kapitolu wieńczono zwycięskich wodzów jak poetów. Spoty-

kamy na wojnie, jak w każdej sztuce, wydatny — czasem nawet rozstrzygający — udział dyktantów. Nie ma przeto powodu by wojna, która jest po trochu wszystkim, nie była również sztuką; było nią według Edgara Allana Poe nawet morderstwo.

Ares, bóg wojny, byłby więc jedną z muz i to jedyną, nie tylko nie milnącą wśród orzeź, ale właśnie dochodzącą do głosu. Czy jednak milczenie innych muz jest aż tak grobowe? Napoleon ułożył statut Komedii Francuskiej na zgłiszczach spalonej Moskwy. Była to jedna z niewielu zdobyczy wielkiego wodza, które dochowały się do naszych dni.

Jakkolwiek jest, można stwierdzić niezbicie, że zacięcia i oddziaływania obu tych wielkich dziedzin życia ludzkiego, wojny i sztuki, są

liczne, różnorodne i obustronne. Zwróćmy uwagę, jak silnie jest nasycona metaforami zaczerpniętymi z dziedziny sztuki terminologia i frazeologia wojenna. Słyszymy o muzyce ognia i melodii skrzydeł, o teatrze operacji, o tańcu śmierci i dantejskich obrazach zniszczenia i cierpienia, o planowości jak w architekturze albo o improwizacji jak w *comedia dell'arte*, o tym, że wojna jest tragedią, albo że jest epopeją. Gdyby wypadało porównywać wojnę do mniej poważnych rodzajów artystycznych, można by również wspomnieć, że bywały wojny operetkowe i że określenie akrobatyki powietrznej zaczerpnięte zostało z cyrku, którego przypomnienie narzucają nam jeszcze tak popularne w wojnie obecnej desanty spadochronowe.

OD HOMERA DO HEMARA

Wszystkie prawie wojny przeszłości oddziaływały na współczesną sobie i potomną twórczość artystyczną. Wojna trojańska na długiej przestrzeni wieków była źródłem natchnień wielu autorów, wśród nich: Eurypidesa i Wergiliusza, Jana z Czarnolasu i Jana Racine'a, Fénélo'na i Goethego, Wyspiańskiego i Giraudoux, Offenbacha i Grubińskiego.

Znajdęmy w niej liczne analogie do wojny obecnej; koalicję zjednoczonych narodów, totalne metody tępienia pokonanego przeciwnika, dywersję na tyłach i omal że zmechanizowaną kawalerię w postaci sławetnego konia. Iliada jest nam dziś szczególnie bliska nie tylko przez to, że każdy z nas przeżył niedawno swoją odyseję, ale jeszcze dlatego, że wielkie przemówienia wygłaszane przez produjących mężów stanu zjednoczonych narodów i fuchrerów „osi” przed, podczas i po każdej z ważniejszych „battles” tej wojny tak bardzo przypominają naszpikowane inwektywami tyrady, jakimi obrzucali się w boju herosi Homera. Każda wojna jest mniej lub więcej podobna do trojańskiej — tego prototypu wojen i tej właśnie uniwersalności zawdzięcza konflikt zbrojny nad brzegami Skamandra swą wyjątkową karierę literacką — żadna jednak może nie przejawiała w takim stopniu jak obecna owego szczególnie homeryckiego aspektu.

WOJNA I SUROWCE

Wojna jest obok miłości najważniejszym surowcem literackim i stała się nim na długo wcześniej, niż literatura przepiękna do ciągnika (dawniej powiedzielibyśmy — do rydwanu) propagandy stała się jednym z surowców strategicznych.

Oddziaływanie wojny przejawiało się również w muzyce, w plastyce. Rezonans zwycięstw napoleońskich odnajdujemy w Beethovie, podobnie jak oddźwięk klęski powstaniowej w Chopinie. Zaciekłość wyprawy hiszpańskiej Napoleona odzwierciedliła się w namętnym okrucieństwie Goya, a barwność ekspedycji algezyjskiej Monarchii Lipcowej znalazła wyraz w jaskrawej kolorystyce Delacroix. Samo pojęcie Grunwaldu jest dla nas nieodparcie związane z sugestywną wizją Matejki ożywioną jeszcze rytmem sienkiewiczowskiej prozy.

Wojna kształtuje architekturę; romańskie i gotyckie zamki średniowiecza przystosowane były do długotrwałych oblężeń, a współczesne przepisy budowlane narzucają budownictwu uwzględnianie wymogów obrony. Wpływa na urbanistykę — metro Moskiewskie, ten arcycybron przeciw-

Ale zwróćmy uwagę na zjawisko odwrotne — oddziaływania sztuki na wojnę. Mamy tu przykład Tyrtusza, który zaimprovizowaną pieśnią wywalczył zwycięstwo (chyba jedno z pierwszych zastosowań propagandy jako broni), pani Beecher Stowe, która sentymentalną powieścią sprcówokowała wojnę secesyjną, H. G. Wellsa, który wpłynął na technikę wojny obecnej.

MUZYKA ŁAGODZI (OBYCZAJE)

Radio, z którego wojna obecna robi tak znaczny i różnorodny użytek posługując się nim i jako pomocniczym sprzętem bojowym i na przykład, z zastosowaniami i jako samodzielnym orzeź czwartego typu sił zbrojnych — propagandy, do niedawna nie było prawie niczym więcej niż popularnym instrumentem muzycznym. A skoro już mowa o udziale w wojnie muzyki, to znany jest powszechnie potężny wpływ, jaki na ukształtowanie się ideologii narodowo-socjalistycznej wywarł Richard Wagner. Nie jest może przypadkiem, że pierwsze spotkanie Fuhrera z Ducem, tak plodne w następstwie, odbyło się w Wenecji — miejscu śmierci piewcy Nibelungów. W większej mierze może on uchodzić za twórcę linii Siegfrieda niż jej budowniczo (użyteczność tej zapomianej trochę, ostatniej z niezdobytych linii obronnych zaktualizuje się prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości) i muzykologdy ustala kiedyś dokładnie stopień odpowiedzialności fanfar wagnerowskich za rozpętanie tej wojny.

IMPONDERABILIA HISTORII

Nie wiem czy podobnie (sit venia verbo) artystyczne podejście do istoty dziejów uzyskałoby całkowitą aprobatę pewnego znakomitego filozofa z biblioteki Brytyjskiego Muzeum, którego brodatka podobna niepokoiła nas ze ścian wszystkich miejsc oficjalnych w kraju, który nas do niedawna gościł. Jak wiele jednak historia paru lat ostatnich daje nam potwierdzeń jego słuszności? Chciałoby frapujący przykład „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy”, który na początku tej wojny tyłu naszych rodaków natchnął i ośmielił do przekraczania zielonych granic między-narodowych, że jednym z pierwszych autorów wycofanych przez cenzurę sowiecką z obiegu na świeżo okupowane h terenach był Sergiusz Piasecki. Któryś z utalentowanych ramzesów powinienby kiedyś napisać pochwałę byłego więźnia świętokrzyskiego, któremu sympatyczna B.S.K. tyle zawdzięcza.

A nam, byłym wygnancom dalekiej Północy, w jak niesłychanym stopniu reminiscencje z „Anhellego” i „Książ Pielgrzymstwa” pozwoliły w polarnych krajobrazach workuciekiej tundry czy pieczorskiej tajgi odnalźć klimat omal że rodzimny.

Bez imperialnego romantyzmu Disraeliego i Kiplinga nie byłoby może zadziwiającej epopei VIII armii. A ile jest Sienkiewicza w brawurze naszych lotników, ile Conrada w postawie marynarzy, ile Zeromskiego i tej integralnej części naszej literatury jaką jest legenda Józefa Piłsudskiego — w konspiracji Polskiej Podziemnej?

A nade wszystko w całym charakterze tej wojny — rycerskim, idealistycznym i głęboko ludzkim — ile jest Cervantesa?

Zygmunt Kosi

Klinowe Gwiazdki

Żółte fale Tygrysu zawodzą złowrogą,
Dziką gędbę mijania świetności i siły.
Widziały groźne zamki i pyszne mogiły,
Padaly w proch potęgi — wymierały drogi.

I znów z wawozów górskich czy z piasków pustyni
Szły tłumy żądne złota, krwi, zwycięskiej chwały,
Toczył się krąg od nowa. Stulecia miały.
Pozostawało słońce, woda, kostki z gliny.

Szły zbrojne w ciężkie tarcze hufce małych ludzi,
Skrzypiały jęcząc groźne bojowe rydwany,
Wchłaniały krew pagórki. W wiosce zapomnianej,
Usypiał ranny rycerz, by się nie obudzić.

W puklach trefionej brody czaiła się groza,
Spiewało szczęście w kulkach jak niebo błękitnych
Zdobiących złoty grzebień. W wieżach starożytnych
Smoczyc murów świątyni grało echo morza.

Na tysiącach cegiełek tłoczonych pałeczka
W gwiazdzistych gwiazdach trudne, zawile szeregi
Kwitła bajka o obcych i cudacznych brzegach,
O związkach cyfr tajemnych, szlakach gwiazd odwiecznych.

Wędrownka boskiej Isztar w kraje wiecznych mroków,
Gilgamesza olbrzyma walka z lwem rozartym,
Chępliwy skarbów wykaz wrogowi wydartych,
Hymn sławiący księżycu magiczne uroki.

Potopu rozbeltane wszędożyłskie fale
Głoszą rozszyfrowane z tajemnicy czaru,
Wyrzebane z pod gruzów tysięcznych zwałów
Osmioboczne cylindry Assurbanipala.

Sindbad

NIUDANY REPORTAŻ

Swoim „dziewiczym” — na terenie KDP — reportażem postanowiłem wstrząsnąć opinią publiczną.

Temat wybrałem frapujący: dwustronne, międzybaonowe ćwiczenia.

Strasznie lubię takie ćwiczenia, a że jestem impulsywny, więc oczami mej duszy widziałem siebie — np. po śmierci dowódcy jakiegoś kompanii — na czele gromady zuchów, z rozwianym włosiem, z wczynnym piórem i notesem w rękę, jak wczynnym głosem zachęcam do natarcia i decyduję o zwycięstwie jakiegoś baonu. Obok mnie fotoreporter robi masę zdjęć tak wspaniałych, że na gła krew zalewa Ostrowskiego. A później... później ucinam półgodziną prywatną rozmowę z dowódcą Paiforce'u, w której wyuraza mi się poufnie z jakimiś rewelacjami, z entuzjazmem mówi o naszych siłach itp. Za ten wywiadzik zgarbiam bańskie honorarium od Reutera, który oczywiście proponuje mi stałą współpracę i w ogóle...

A tymczasem... E heu!

Na ćwiczeniach byłem, owszem. Fotoreporter był również, a jakże. Generalicja w komplecie, oczywiście. Tylko, że...

To było tak:

Z samego rana zaspaliśmy, w związku z czym musiałem szukać miejsca na cudzym łaziku. Dzięki żenującej wprost uprzejmości kolegów mogłem wreszcie zabrać się na te ćwiczenia ich autem.

Wyjechaliśmy o parę minut za późno i oczywista z miejsca... zaślizgnęliśmy. Wśród sieci dróg asfaltowych, ropowanych i nieropowanych, rozrzuconych w szczerej pu-

styni zdawało się bez celu i sensu — to jest łatwe. Błądzenie trwa dobrą godzinę.

Tu i ówdzie widzimy obłoki kurzu wzniesiane przez jadące kolumny aut, ale zawsze okazuje się, że to albo — jeżeli nawet i bierze udział — to jest to jakaś siła chwilowo nie zaangażowana w walce.

Wreszcie, po dłuższym kluczeniu na wysokiej górze widzimy kilka postaci. To punkt obserwacyjny dla gości. Stąd mamy obserwować przebieg ćwiczeń.

Windujemy się stromym zboczem na wzgórzu żywo przypominające nasz podgórski kopczyk i po lada jakim przedstawieniu się grupce osób pochylonych nad mapami i skupionych przy telefonie — rozglądamy się wokół.

Widok sam dla siebie jest wspaniały. Oramowana ze wszech stron wysokimi pagórkami dolina, fantastycznie poprzeryzana jarami, stanowi jakoby obrzydliwą rzymską arenę, na której rozegrać się ma walka. Właściwie walka rozgrywa się już od paru godzin, ale do nas dochodzą tylko jej odgłosy w postaci napływających wciąż meldunków orientujących nas w sytuacji.

Czerwoni nacierają. Wiemy, że spędziliśmy już straż przednią niebieskich i posuwają się w kierunku na północ. Z daleka widzimy kłęby wznoszone setkami kół samochodowych i dymy wybuchających raz po raz petard imitujących artylerię.

Walka zbliża się. Tuż u naszych stóp, w niewielkiej kotłince skupia się stadko karierów i kilku aut pancernych. Dalej od nas przemykają

w tył większe i mniejsze zgrupowania samochodów, w których rozpoznajemy siły niebieskich. Prawie na piętach ciągną strażę przednie czerwonych, głoścąc przez telefon o swoim zwycięskim pochodzie. Posuwają się szybko naprzód. Z „łoz” obserwatora widzimy, że w zapale walki czerwoni przeoczą niebezpieczeństwo uderzenia z boku właśnie przez ową zamaskowaną grupę karierów. Ale nie. Okazuje się z meldunków, że czerwoni wiedzą o zasadce i całe natarcie na prawym skrzydle jest tylko manewrem mającym na celu zmylenie przeciwnika i zmuszenie go do przegrupowania sił. Manewr udaje się. Zwiąawszy się walką z prawo-skrzydłową czatą, wódz czerwonych — gwałtownym natarciem piechoty wspartym silnym ogniem artylerii uderza po lewym skrzydle i zmusza wroga do odwrotu.

Dla mnie walka jest już właściwie skończona. Nie widzę bowiem już nic a zbyt mało poważnym strategiem jestem, abym mógł należycie ocenić sprawność przesuujących się kolumn amunicyjnych, zaopatrzenia itp. itp. Chciałbym jeszcze tylko zobaczyć jak walczą żołnierzy i jak w tych tropikalnych warunkach znosi przeciwności klimatyczne i tenoswe.

I... nie zobaczyłem. To jest nic dziwnego przy moim szczęściu.

Do oddziału dotarłem bowiem również za późno. Przybyłem właśnie na te chwilę kiedy zajęte wozy kaniarskie ze świetliczarkami, które w bardzo szybkim tempie zamaskowały się według wszelkich przepisów sztuki maskowniczej (co potwierdził autorytet w tej dziedzinie — oficer maskowniczy dywizji) i z miejsca przystąpiły do pracy.

Gospoda jest dobrze zaopatrzona. Widzę dziesiątki rąk wyciągające się po butelki z lemoniadą, widzę napchane kanapkami gęby, z żywym zadowoleniem spoglądające w kierunku powszechnie lubianych „pań świetliczerek”, widzę ich szybkie ruchy, miły uśmiech i nie mogę powstrzymać się od głośnej uwagi, że wszystko to jest nadzwyczaj sprawnie. W zamian za to otrzymuję miły uśmiech i... ludzie uwaga! — wspaniała porcja lodów śmietankowych! Na pustyni irackiej lody śmietankowe! Wyraźnie śmietankowe!!! Jak Boga kocham — prawdę piszę!

Lody są bardzo dobre, ale muszę spieszyć na miejsce zbiórki komisji rozjemczej, która ma się zebrać do omówienia ćwiczeń i osądzenia komu przyznać zwycięstwo. Ma tam być również i generał Pownall. No... spóźniłem się. General był, zacydecy Armii również, a ja... jadłem lody.

Wpadłem na ostatnią chwilę, zerwałem z szyi aparat i usiłuję zrobić zdjęcie. Muszę się przyznać, że fotoreportera zgubiłem również na samym początku.

Okazuje się, że ostatnie klisze zużyłem na zdjęcia gospody. I co mam zrobić?

Zabrałem się i pojechałem do domu.

Ćwiczenia podobno się udały.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Gen. J. S. Dziękujemy za ciekawy artykuł, którego wszakże nie możemy zamieścić, gdyż nie chcielibyśmy dopuścić na łamach „Orla” polemiki zawierającej insynuacje zlewołi którejkolwiek ze stron. Nawet zamieszczając artykuły nieuzupełnione zgodnie z poglądem redakcji ta ostatnia zawsze zakłada, że są one pisane jako szczery wyraz poglądów autora. Zaczepiony artykuł „Między Rosją a Niemcami” jest pisany przez niewątpliwego „inteligenta”, który się tego nigdy nie zapiera, jakże więc moglibyśmy uwierzyć, jakoby „Inteligencję” jako taką zwałcał. Natomiast niezależnie od tego, czy autor owego artykułu p. Zaw. miał czy nie miał we wszystkim słuszność, wydaje nam się, że krytycyzm wobec tej czy innej grupy wychodzący z jej wnętrza jest objawem zdrowym od samouwielbienia. Artykuł miał na celu walkę o najpowszechniejsze udostępnienie wykształcenia oraz o unikanie wyodrębniania się inteligencji jako osobnej grupy społecznej. Otóż jeśli nawet sformułowania p. Zaw. były sporne, pozostaje faktem, że od tego, by dostęp do grupy inteligentkiej był równy dla wszystkich łatwy jesteśmy dość daleko a dystans między naszą inteligencją a pozostałą częścią ludności był większy niż w Ameryce a nawet w zachodniej Europie. Nie widzimy więc powodu dopatrywać się w dążeniu do poprawy tego stanu rzeczy jakichś rozgrywek, czy innych celów ubocznych.

Wł. Sław. Dziękujemy za „Na strzelniczy” — wydaje nam się nieco przesłodzone — żołnierzatonic chwyta.

Dr E. K. Dziękujemy za piękny artykuł. Drukujemy i prosimy o dalszą współpracę.

Inż. T. P.-k. List do p. A. Z. przesłaliśmy.

POSZUKIWANIA

408. Osoby zamieszkujące Polish Settlement Koją P. O. Mukono — Uganda East Africa poszukują: Niewiadomski Stefan — córki Cecylii, która ma być w P. S. K. Feliksa Piorkowska — syna Felksa, ur. 1. XI. 1923 r. Pawełko Genowefa — kpr. Pawełko Edwarda, nr. 1911 r., był w Kermine. Fabisz Jadwiga — męża Antoniego, ur. 1912 r. był w Kermine. Fabisz Jadwiga — brata Antoniego Miara, ur. 1922 r. Starczewskiego Stanisława, ur. 1925 r. poszukują krewni. Borysa Edwarda poszukuje żona Emilia. Wiadomości proszę kierować na powyższy adres na nazwisko Stefana Niewiadomskiego.
409. Gerot Michał (Teheran, Główny Szpital Cywilny) — brata Kazimierza Gerota z Boryslawia, który prawdopodobnie wstąpił w ZSRD do wojska. Wiadomości proszę podawać Red. „Orla”.
410. Inż. Olszewski Bolesław (P. O. Box 260/55 G. P. O., London, E. C. 1) — żony Krystyny z domu Łucyk, która na początku 1942 r. była w Dżambule, ZSRD.
411. Bakalus Piotr (P. F. P. 207) — żony Marii z Dąbrowskich i córki Mieczysławy ze Stryja

WIECZORNE REFLEKSJE

Jakże musnąć mi w wierszu lekkich słów pastela twoje niebo zgubione w przepastnych lazurach, gdy dymy je pokryły, na wierzchołkach się ściela i luno złotokrwiste pęcznią na chmurach?

Jakże może kłosaianym rozszumieć się śpiewem w tych zwrotkach mazowieckiej, wysrebrzone pole, kiedy wiatr po nim przebiegł i zasiał powiewem tylko ły i popioły i iskier kąkole?

Jakże twarz wtulić bladą w te bzy, co się pienią, i pachną kadzidłami przydrożnej kaplicy, gdy liście są — jak serca — dotknięte jesienią, a krzyż na ziemię upadł cieniem szubienicy?

Jakże wrócić w tę młodość złocistą od pszenic, w czerwieniu letnich wschodów, w jarzębin okiście, gdy zachód purpurowy ginie wciąż w przestrzeni, a na włosach szelczę jesienne już liście?

Jakże wrócić w tę młodość — gdy dotknięty słońcem zapłonął nagłym szczęściem pocałunek pierwszy?... Wciąż jeszcze słyszysz czyjeś kroki odchodzące i usta czyjeś pachną nieskończonym wierszem...

Jakże stanąć pod oknem zmierzchem fioletowym i zapukać — tak cicho — by Bóg też nie słyszał, gdy szyby się rozdźwięczą preludium deszczowym, a do okna podejdzie zapłakana cisza?...

I cóż, że usta złożone na lat tamtych strumień? Woda łożami zapachnie — i płynąc — przyniesie jakiegoś echa cementarnych, rozmodlonych szumień i chmury, które kiedyś rzucił na nią Wrzesień...

Bo cóż, że wrócić wreszcie przestrzeniami syty, by znowu rzucić słońce na lemiesz pługom, gdy mgłą przesnute oczy, jak chłodne przedświt, powiedzą — że czekały zbyt długo, zbyt długo...

Janusz Wedow

W. Sławek